AS



Nr. 2
10 STYCZNIA 1937
CENA 40 GROSZY

PRZED BALEM...
BINNIE BARNES, amerykańska gwiazda filmowa.

W pracowniach znanych artystek:

ZOFJA TRZCIŃSKA-KAMIŃSKA

Przyznać muszę, iż żaden z wywiadów, przeprowadzonych przeze mnie dla niniejszej rubryki „Asa“ nie wywarł na mnie tak silnego wrażenia, jak wizyta w pracowni p. Zofji Trzcińskiej-Kamińskiej, tej niewątpliwie najzdolniejszej polskiej rzeźbiarki. Już samo rzeźbiarstwo — w porównaniu z innemi sztukami pięknemi budzić musi głębsze wzruszenia. Tutaj dzieło nie powstaje w zamkniętych ramach płótna, jak w malarstwie, czy wśród narzuconych przez życie wymagań — jak w rachitekturze. Artysta-rzeźbiarz tworzy formy, które w chwili przystępowania do pracy nie istnieją wogóle. eJśli przytem rzeźbiarz, jak p. Zofja Trzcińska-Kamińska, pracuje w myśl pewnych szlachetnych idei i kroczy po jasno wytkniętej drodze, musi ise uznać ową przemożną wielkość sztuki, sztuki pięknej.

Sylwetka p. Zofji Trzcińskiej-Kamińskiej jest tak oryginalną, iż nie mogę się oprzeć pokusie, aby przed zdaniem sprawozdania z mego wywiadu u artystki, nie nakreślić jej w kilku słowach.

Przedewszystkiem — kobieta, z wszelkiemi zaletami kobiecej subtelności. Gdy oprowadza mnie po swej willi, ukazuje nietylko dzieło swych rąk, oryginalne ornamenty, wykonane na zewnętrznych ścianach domu ciekawą techniką „zgrafitową“, ale również i swe prywatne domowe zacisze; podkreśla przytem dobitnie: „to nie mój dom — to nasz dom. Mój i mego męża“. Znajduje czas nietylko na oprowadzenie mnie po swej pracowni, ale poświęca też chwilę na pokazanie cennych pamiątek rodzinnych.

Z tą kobiecością artystki harmonizuje równocześnie pewne charakterystyczne zacięcie męskie. To niewątpliwie pozostałość z czasów wojny. Wszakże p. Zofja brała udział w wielkiej wojnie. Była ułanem w 2-gim pułku Ułanów Krechowieckich, w Kompanji Sztabowej! Służyła wówczas pod wodzą znanego poety legjonowego — rotmistrza Mączki. Ten okres wojny i bohaterskich zmagań narodów pozostawi zresztą na zawsze ślad w twórczości p. Trzcińskiej-Kamińskiej kierując jej zamiłowania ku rzeźbom postaci bohaterów narodowych i wiekich rycerzy. Dodawszy do tego wielki kult dla Kościuszki, pielęgnowany w rodzinie rzeźbiarki przez pamięć na serdeczną przyjaźń, jaka łączyła pradziadka p. Zofji z Kościuszką, zrozumiemy, dlaczego wśród dzieł artystki znajdą się tak potężne dzieła, jak pomnik Kościuszki w Poznaniu, jak cztery monumentalne popiersia największych wodzów polskich—Bolesława Chrobrego, królów: Łokietka i Batorego, oraz hetmana Czarnieckiego, umieszczone w honorowej „Sali Wodzów“ w Muzeum Wojska w Warszawie, czy pomnik Czarnieckiego w Czarncy.

Mimo tych niewątpliwie wielkich i licznych dzieł artystki z dziedziny „wojennej“, nie ten rodzaj rzeźby jest dominującym w twórczości Zofji Trzcińskiej-Kamińskiej. Rzeźbiarka jest głęboko wierzącą katoliczką i jej praca idzie przedewszystkiem w kierunku rzeźby religijnej.

— Moja walka, mój „front“ — mówi do mnie pani Zofja z uśmiechem, używając tego modnego wyrażenia — to rzeźba religijna. To jest ta najbardziej społeczna część mej pracy. Chcę, ażeby pan mnie dobrze zrozumiał — chodzi mi nietylę o sztukę oficjalną, kościelną, ale o ten najbardziej domowy, osobisty kult religijny wśród społeczeństwa. Dziś w domu chrześcijańskim, jeśli są obrazy czy rzeźby religijne, będą to tuzinkowe, tandetne dewocjonalja. O ileż piękniejszą będzie wiara, jeśli jej zewnętrzne oznaki będą równocześnie synonimem estetyki i piękna! Moje zatem credo — to szukanie nowych, współczesnych form dla potrzeb religijnych. Musi pan przytem wiedzieć, iż jeśli polska sztuka współczesna bardzo mało uczyniła dotychczas w tym kierunku, to zagranicą istnieją już nawet związki artystów, którzy stowarzyszyli się specjalnie dla wspólnego pielęgnowania nowej sztuki religijnej. Głównie dzieje się to we Francji, w Belgji.



Zofja Trzcińska-Kamińska w swej pracowni.





„Świątki“ Zofji Trzcińskiej-Kamińskiej odznaczają się wielką oryginalnością kompozycji. Od lewej: Święty Antoni, w kaplicy M/S Piłsudski, oraz Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus.

— Jak mogłaby pani oświetlić to zagadnienie — pytam — od strony „odbiorców“ sztuki, to jest od szerokich rzecz społeczeństwa?

Artystka skupia uwagę i wreszcie snuje następujące niezwykle trafne spostrzeżenia:

— Świat niezupełnie jeszcze zdaje sobie sprawę z tego, w jakim ważnym duchowo momencie dziś się znajdujemy. Ale coraz częściej słyszy się głębszą analizę wypadków, które zaprzątają dziś uwagę całego świata. Więc wojny hiszpańskiej, więc walki młodego Degrella w Belgji, Degrella, który jest wszakże żarliwym katolikiem. Jabym ujęła wszystko to w bardzo krótką syntezę: Oto świat dziś walczy o to, czy wierzy w Boga, czy nie. Jeśli patrzymy w przyszłość jako w zwycięstwo wierzących, musimy równocześnie być pewni tego, że oto nadchodzi nowa era ludzkości — era głębokiego i powszechnego kultu religijnego. Zmaterjalizowany do ostatnich granic świat znajdzie ideę i za nią pójdzież A w służbę tej idei zaprzęgnie się wszelkie wartości wewnętrzne człowieka, więc i sztukę.

— W ten sposób chwila obecna będzie również przełomową i dla sztuki. Najwyższy już czas, aby sztuka przestała być „ciastkiem“, lecz aby stała się chlebem, pokarmem. Dlatego sztuka powinna przestać być terenem walk o takie, czy inne techniki, o malowanie kreskami, czy kropkami, o rzeźbienie akademieckiem, czy formsityczne. Stane się teraz ważnem, co i o czem artysta mówi. Jedyną i najwększą wartością będzie treść, wyznanie duchowe artysty. Nowy świat, który dziś się budzi, zażąda od artysty w o wiele większym stopniu, niż dawniej służenia swą pracą idei. Ale wówczas artysta, który będzie chciał, by sztuka jego była społeczeństwu potrzebna, sam musi w coś głęboko wierzyć...

Ze skupieniem słucham uwag rzeźbiarki. Obok potężnych brył pomników Marszałka Piłsudskiego i Hetmana Czarnieckiego widnieją w pracowni smukłe, pełne dziwnego spokoju rzeźby, wyobrażające postać Matki Boskiej i Świętych. Oto figura Stella Maris, ta sama, która zdobi ołtarzyk polowy na M/S Batory. Oto święty Jacek i św. Antoni, figury ornamentalne z M/S Piłsudski, wreszcie ostatnie dzieło p. Zofji Trzcińskiej-Kamińskiej, Matka Boska z Dzieciątkiem. Podziwiam. z jakim wysokim kunsztem potrafiła artystka połączyć w tych rzeźbach wzniosłość i świętość tematu, wybitnie nowoczesną formę. a równocześnie pewien szczerze polski, ludowy styl. Sama artystka nazywa te swoje dzieła nie „figurami świętych“, ale poprostu... świątkami. Piękny ten wyraz jest tu niezwykle celnie użyty.

Romit.



Na prawo: Stefan Czarniecki — płaskorzeźba z bronzu znajdująca się w kościele w Czarncy, gnieździe rodzinnem hetmana.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 2 **Niedziela 10 stycznia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 2-GO:

Fot. Keystone — Berlin.

Jedną z atrakcyj tegorocznego sezonu zimowego w St. Moritz są występy sióstr Brandt, które cieszą się sławą najlepszych łyżwiarek Anglji. — Oto jedna z figur popisowych ich tańca, pełnego maestrji i gracji!

Wyspa zapomnianych

Historja szczepów, będących obecnie na wymarciu, lub mieszkających na odosobnionych „wyspach" narodościowych, otoczonych zewsząd obcym etnicznym elementem, jest bodaj-że ciekawsza od dziejów narodu, rozwijającego się „normalnie". Takie narody, jak np. Baskowie, Łużyczanie itd. żyją zupełnie specjalnem życiem i rozwijają nieraz cechy prawdziwego bohaterstwa w obronie swej zagrożonej narodowości.

Dla Polaków najbardziej bliskimi są Łużyczanie, mieszkający w odległości 80 kilometrów od zachodniej granicy Polski po obu brzegach Szprewy. Nieliczna to już garstka, zaledwie 150 000 ludzi, resztka potężnego ongiś szczepu zachodnio-słowiańskiego Serbo-Łużyczan. Od tysiąca lat już wysepka słowiańska walczy z otaczającymi ją Niemcami.

Serbo-Łużyczanie zajmowali tysiąc lat temu terytorja między Saalą, Hawelą, Odrą, Bobrem, Kwisą a Górami Sudeckiemi. Całe to terytorjum rozpada się pod względem geograficznym na Łużyce Górne i Łużyce Dolne. Dzisiejszym Dolnym Łużycom odpowiada dawne plemię Łużyczan nad Dolną Szprewą, a Górnym Łużycom dawne plemię Milczan, na zachód zaś od nich istniało plemie Serbów, które uległo zupełnej germanizacji, tylko nazwa ich przeszła na dzisiejszych Serbo-Łużyczan. Tak więc Łużyczanie sąsiedowali wówczas z innymi Słowianami, a mianowicie na północy z Połabianami, na wschodzie z Polakami, na południu z Czechami, a jedynie na zachodzie z Niemcami. Wytępiwszy Serbów Połabskich, Niemcy okrążyli teren Serbo-Łużycki i przerwali połączenie jego z resztą Słowian. — Walka tych „ostatnich Mohikanów" słowiańskich z germanizmem pełna jest wzruszających epizodów i pełna bohaterstwa: ziemie zamieszkałe przez Łużyczan kurczą się od wieków, obecnie obejmują, licząc z południa na północ około 100 kilometrów, a od zachodu na wschód około 60 kilometrów.

Cmentarz katolicki wśród ruin kościoła z XV wieku na ziemi łużyckiej.



Mapa etnograficzna Łużyc.

Serbo-Łużyczanie za czasów pierwszych Piastów wchodzili w grę również jako czynnik polityczny przy próbie sił między Polską a Niemcami. Zwłaszcza Bolesław Chrobry rozumiał doniosłość tej na wschód wysuniętej placówki słowiańskiej i starał się zjednoczyć ją wraz z innymi Słowianami w jedno potężne państwo. Wkońcu, po długoletnich walkach przyłącza Bolesław Chrobry Łużyce wraz z głównym grodem Budziszynem do Polski. Niestety następcy tego króla nie kontynuują jego polityki i Polska traci tę krainę.

Pomimo 1000-letniej niewoli Serbo-Łużyczanie nie zatracili odrębności narodowej i języka słowiańskiego. Dziś wszyscy prawie są narodowo uświadomieni, pielęgnują język, zwyczaje i obyczaje ojców. Odrębność narodową podkreślają ich piękne i malownicze stroje.

Stroje Serbo-Łużyczan wykształtowały się właściwie w XV i XVI wieku i z drobnemi zmianami utrzymują się do naszych czasów. Stroje męskie znikają już na początku wieku XVIII-tego. Mężczyźni nosili wówczas szeroki kapelusz a często czapkę wysoką lub zwisającą na bok, obramowaną futrem bobrowem. Kamizelka była zwykle barwna a na nią wkładano długą do kolan kapotę. Czasami noszono błękitny kaftan, zapięty aż po szyję. Częściowo strój ten był w użyciu jeszcze w XIX-stym wieku.

Ubiór kobiecy zachował się na Łużycach w całej okazałości do dziś dnia. Barwa stroju jest zależna od wieku osoby. Im młodsza dziewczyna tem jaskrawiej się ubiera. Kobiety starsze noszą przeważnie kolor bronzowy lub czarny. Na koszulę o krótkich rękawach (przy koszulach świątecznych przystrajanych koronkami) wkłada się spódnicę z grubego różnokolorowego materjału. Na spódnicę



Strój druhen na Górnych Łużycach posiada bogate ozdoby i ciekawe nakrycie głowy.



Poniżej: Grupa dziewcząt łużyckich w strojach narodowych.

znów fartuch jedwabny również kolorowy. Na Dolnych Łużycach noszą dziewczęta fartuszki płócienne ozdobione koronkami, mężatki zaś i starsze kobiety noszą fartuszki w kolorach ciemnych lub poprostu czarne. Nadto zarówno dziewczęta, jak i mężatki noszą czarne aksamitne gorseciki, które dla dziewcząt są sznurowane a zapinane na guziki dla mężatek Na gorsecik wkłada się jasną chustkę zdobioną motywami roślinnemi. Dawniej do Komunji świętej kobiety przystępowały w dużej białej płachcie zarzucanej na głowę a spadającej i okrywającej całe ciało. Dziś ubierają się tak do Komunji św. na Boże Ciało i w Wielki Piątek.

Również okrycia głowy są bardzo rozmaite. Po nich można poznać nietylko z jakiej okolicy, ale nawet z której wsi dana osoba pochodzi. Strój głowy zdradza czy jego właścicielka jest w żałobie, czy idzie jako kuma, czy do Komunji św. czy do bierzmowania, czy wreszcie na tańce. Na Dolnych Łużycach owija się naokoło sztywnego czółka dużą chustkę tak zwaną „lapę", o wielkich skrzydłach, zwanych „rogi". Panna młoda z miejscowości Bórkowy do umocowania tak złożonego ubrania głowy potrzebuje aż 243 szpilek! Na chustkach są wyhaftowane piękne motywy roślinne. Matki chrzestne nakładają tak zwany „hupac" podobny do „lap" z tą tylko różnicą, że jest biały. Na pograniczu Łużyc Dolnych i Górnych ubierają się dziewczęta w czerwone chustki, zdobne w drobne małe kwiatki, które zdaleka robią wrażenie muchomorów. Kobiety z Górnych Łużyc noszą czarny żakiet z jedwabiu o długich rękawach, obszytych szeroką koronką lub zdobione motywami roślinnemi, haftowanemi wprost na materjale żakietu. Głowę Górno-Łużyczanki zdobi szeroka atłasowa wstęga czarna, przyczepiona z tyłu szpilkami do czepka. Związuje się ją w kokardę, której końce opadają aż do kolan. Taki strój głowy noszą tylko katoliczki Łużyc Górnych. A więc można również po stroju poznać czy osoba jest wyznania katolickiego, czy ewangielickiego.

Odrębność narodowa i słowiańskość zachowała się lepiej na Łużycach Górnych a specjalnie wśród katolików. Ogniskiem kultury narodowej jest Budziszyn. Dorobek kulturalny Serbów Łużyckich jest bardzo duży.

Na prawo: Druhna łużycka w swym pięknym stroju.

Na prawo: Oto ogólny widok stolicy Łużyc Górnych, Budziszyna, w którego murach zawarty został pokój między Bolesławem Chrobrym a cesarzem Henrykiem II. w r. 1018.



Wydają oni liczne czasopisma literacko-naukowe i religijne oraz posiadają własny dziennik „Serbskie Nowiny". Wszyscy narodowo uświadomieni Serbo-Łużyczanie są zorganizowani w naczelnej organizacji „Domowina Zwjazk Łuziskich Serbow". Literaturę, naukę i sztukę narodową reprezentuje „Macierz Sersbka". Organizacje te działają w warunkach nadzwyczaj ciężkich. Każdy Serbo-Łużyczanin, który zaznacza swoją odrębność narodową, narażony jest na szykany i prześladowania. Podziwiać tylko można ten naród słowiański, który w tak ciężkiej walce utrzymał się, który chce żyć i żyć będzie. — Pobratymcom naszym na Zachodzie musimy dodać otuchy i dać im pomoc moralną, aby w walce tej nie ulegli, bo są oni dziś jeszcze tak jak byli za czasów Bolesława Chrobrego, strażą przednią Słowiańszczyzny na Zachodzie.

Dzieje Łużyczan są ciekawem historycznem memento, przypominającem nam walki Słowiańszczyzny z światem germańskim i ukazującem nader wyraziście straty, jakie Słowiańszczyzna poniosła w ostatniem tysiącleciu. Przecież również i Pomorze Szczecińskie które dzisiaj wchodzi w skład Rzeszy niemieckiej i jest ziemią niemiecką, zamieszkałe było za czasów naszych Piastów przez Słowian. To samo oczywiście da się powiedzieć o Śląsku Niemieckim, gdzie same nazwiska ludności wskazują, iż słowiańskiego jest ona szczepu, a jedynie germanizacja uczyniła z niej ludność obecnie „szczerze" niemiecką. Jak wiadomo, na przełowie XV i XVI wieku polityka Polski zwróciła się na Wschód, zaniechawszy, po zwycięstwie grunwaldzkiem i sukcesach za Kazimierza Jagiellończyka nad Krzyżakami, walki na Zachodzie. Wtedy to również Łużyczanie stracili ostatnią moralną podporę i zdani zostali na własne siły.

Serbowid.



Drużba weselny w odświętnym stroju. Również uprząż konia jest niezwykle barwna.



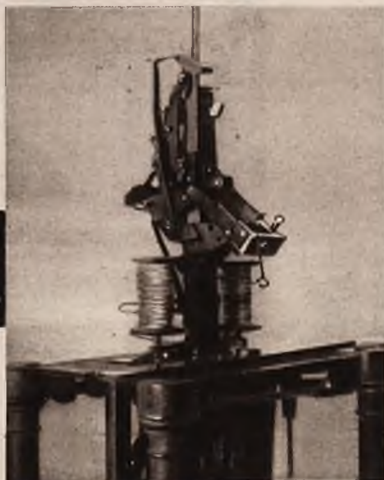
Stroje młodszych i starszych dziewcząt łużyckich.

„Igła mechaniczna"



Wynalazca maszyny do szycia Austrjak Józef Madersperger. Rzeźba znajduje się w parku Wyższej Szkoły Technicznej w Wiedniu.





Na prawo: Pierwszy model maszyny do szycia sprzed 100 laty.



Powyżej: Oto jakiemi maszynami do szycia posługiwały się nasze prababki.

W początku roku 1852, a więc zaledwie 85 lat temu, wszystkie nowojorskie dzienniki podały sensacyjną wiadomość o skonstruowaniu cudownej maszyny. Zaciekawieni czytelnicy dowiedzieli się wówczas, że skromny pastor nowojorski Wilson, skonstruował maszynę do szycia. Przeszło rok trwały prace przygotowawcze, zanim pomysł „stał się ciałem" i mógł być zademonstrowany.

— „Maszyna ta, — jak podaje współczesny kronikarz — tysiąc ściegów na minutę robiąc, igłę z ręki niewiasty wytrąca, bowiem ta, najbieglejszą bodaj artystką sztuki krawieckiej będąc, czterdzieści zaledwie w tymże czasie wykonać zdoła".

— Kobieta odtąd staje się wyzwoloną — głosili entuzjaści wynalazku. — Maszyna, wyswobodzicielka niewiast szyjących, zbawczyni młodych, na suchoty umierających dziewcząt, pracować teraz za nią będzie, a kobieta — ten kwiat i królowa przyrody, zakwitnie na nowo swobodna i wesoła.

Biedził się wynalazca nad udoskonaleniem niezbyt jeszcze sprawnie funkcjonującej maszynki, a tymczasem w prasie szykowano drogę do triumfalnego pochodu „stalowej pracownicy".

— Zaiste, — pisał wówczas jeden z najzagorzalszych enuzjastów — ważniejszy to, w dziedzinie mechaniki, wynalazek, niż dzieło słynnego Alberta, arcybiskupa Ratysbony, który taką głowę mechaniczną zbudował, że odpowiadała na zadane sobie pytania. Wszakże nieosobliwy musiał być dar tej mechanicznej wymowy, skoro uczeń Alberta, święty Tomasz z Akwinu, szczebiotaniem tej głowy znudzony, pogruchotał ją na kawałki. Gdyby podobnemu nieszczęściu ulec musiały wszystkie usta, wyrazy bez znaczenie powtarzające, co chwila widzielibyśmy głowy zdruzgotane, — dodaje z sarkazmem — lecz na „stalową robotnicę" żaden święty ręki nie podniesie, owszem, pobłogosławi ją każdy, kto pragnie ulżyć brzemienia pracy, tłoczącego barki ubogich pracownic".

Takiego oto entuzjastycznego przyjęcia doznała za oceanem maszyna do szycia, prototyp singerowskiej pedałówki, czy też dzisiejszej, zaopatrzonej w napęd elektryczny, a przeznaczonej do obrębiania, lamowania czy watowania.



Nowoczesna składana maszyna do szycia mieści się w małym kuferku.

Ale myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że właśnie Allen Wilson był pierwszym konstruktorem maszyny do szycia. Nie! Od niego zaznaczył się tylko wyraźnie punkt zwrotny na drodze rozwoju maszyny. On pierwszy stworzył Tow. Akcyjne, pod firmą „Wheeler i Wilson", towarzystwo produkujące maszyny do szycia, znacznie jednak wcześniej genjusz wynalazcy, dążący uparcie do mechanizowania czynności rąk ludzkich, wyprzedził poczynania Wilsona.

W roku 1755 Anglik Karol Weisenthal skonstruował maszynę zaopatrzoną w igłę o dwóch śpiczastych końcach. Podobną maszynę skonstruowali w 1804 roku dwaj Anglicy T. Stone i James Henderson, a w 1814-tym Wiedeńczyk Józef Madersperger. Wynalazki te nie zdołały zainteresować świata przemysłowego. Zbyt dalekie były jeszcze od doskonałości. Angielski pastor J. Dodge, przy pomocy mechanika zbudował w 1818 roku nieco inną maszynę. Niestety, krawcy, widząc w niej zbyt wielką konkurencję zbuntowali się, twierdząc, że duchowny nie ma prawa wkraczać w ich uprawnienia.

W roku 1826 ogień zniszczył model maszyny Amerykanina Lye, a francuski krawiec Bartłomiej Thimonnier o mało co nie postradał życia. Maszyna jego, zaopatrzona w haczykowatą igłę okazała się o tyle dobrą, że wykonano ich aż... 86 sztuk i Thimonnier zaczął szyć na nich mundury dla wojska. Krawcy, w obawie przed utratą pracy, zorganizowali się i zdemolowali maszyny, a wynalazca, złamany na duchu, zmarł w biedzie.

Dopiero w roku 1846 22-letni mechanik amerykański Eljasz Howe rozwiązał zagadnienie maszyny z igłą o otworze na dole i ruchomym czółenku. Zasada ta stosowana jest do dnia dzisiejszego, jednak trudno byłoby powiedzieć, że właśnie Howe był tym, który zasłużył na miano „ojca maszyny do szycia". Należy się ono bezspornie Allenowi Wilsonowi, jemu bowiem udało się zainteresować opinję swym wynalazkiem i on pierwszy, jak się to mówi obecnie, wypuścił na rynek swe fabrykaty.

Z fabryki, a raczej z warsztatu „Wheelera i Wilsona" wyszła w świat „w kształt stoliczka z kółkiem, jak u kołowrotka i z sandałami u spodu, lek-

ko i zręcznie zbudowana, wysoka na półtora łokcia, stalowa, często zdobnie srebrem wykładana"..

Stopniowo ulepszana rychło zdobyła sobie szeroką popularność. Zapał udzielił się wszystkim. Z kazalnic posypały się pod adresem wynalazcy błogosławieństwa i pochwały. Nawet poezja osypała swym kwieciem „stalową robotnicę". Entuzjazmowali się wszyscy, milczały tylko pochylone nad swą pracą robotnice...

Rok 1851 — to punkt zwrotny na drodze rozwoju maszyny do szycia. Zainteresował się nią J. Merritt Singer, wszedł więc w porozumienie z jednym z licznych konstruktorów, wykupił Towarzystwo Wheeler i Wilson i wkrótce już za 40 dolarów można było nabyć sprawnie funkcjonującą maszynę. W roku 1856 powstaje pierwsza „pedałówka", a w 1865 t. zw. „familijna". Fabryka rozrasta się z nienotowaną dotychczas szybkością. Maszyna do szycia jest wszędzie. W roku 1863 można ją nabyć i „w składzie pana Aleksandra Flatau przy ulicy Granicznej N. 966, który te szwaczki z New-Yorku sprowadza. Kosztują tylko 500 zł. polskich to jest rubli 75", pisze kronikarz.

Szybko postępowała ewolucja maszyny. Od 1908 roku zastosowano napęd elektryczny, a dziś — dziś niema już zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby nie znano maszyny do szycia. Nic dziwnego, że obecnie wielkie zakłady fabryczne „Singer Sewing Machine Company" produkują w swych dziesięciu wielkich fabrykach aż trzy miljony maszyn rocznie, skoro są one używane zarówno w belgijskiem Kongu, jak nad brzegami Amuru, na Alasce i w Indjach holenderskich. A przecież nie jeden tylko „Singer" wyrabia je. Niedawno jeszcze Niemcy mieli 32 fabryki, a inne państwa wszystkich części świata produkują potrochu.

Maszyna do szycia zawojowała świat i codziennie oddaje ludzkości nieocenione wprost usługi, czy jednak ulżyła doli biednych wyrobnic igły? To trudne pytanie. I mimo woli przychodzi nam na myśl uboga robotnica, utrudzona sama nad pracą, pozbawiona światła i powietrza na poddaszu lub w suterynie, która tuląc płacz dziecka lub słuchając jęków chorej matki — wykańcza pośpiesznie wytworną robótkę, by za nędzną swej pracy zapłatę kupić lekarstwa i chleba. Nie posługuje się jednak maszyną, gdyż... — jak wiedzą wytworne panie — wytworną bieliznę szyje się nadal ręcznie.

Witold Tatarzyński.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Oto najnowsze znaczki szwajcarskie (w górnym rzędzie) na cele charytatywne, oraz rumuńskie kursujące w trzech państwach t j. Rumunji, Jugosławji i Czechosłowacji.

Z Nowym Rokiem spodziewamy się, że i we filatelistyce nastąpi polepszenie, to znaczy, że powiększy się liczba naszych kolegów-zbieraczy, a ci, którzy wytrwają w swym zapale kolekcjonarskim nie będą zasypywani mnóstwem przeważnie niepotrzebnych nowości.

Z tych ostatnich wydań możemy zareprodukować (ze zbioru dyr. Landaua) tradycyjną serję „Pro Juventute" przedstawiającą 3 nowe stroje regjonalne z okolic Neuchatel (fioletowy) 10+5 c., Schwyz (czerwony) 20+5 c. i na znaczku za 30+10 c. (niebieski) Zürich. Wartość najniższa wykonania jest nie jak pozostałe heliograwurą, lecz sztychem (za 5+5 c. zielona). Przy tej sposobności zwracamy uwagę jak delikatnie stempluje się znaczki zagranicą i życzymy naszym Czytelnikom, aby otrzymywali polską korespondencję w 1937 r. tak kasowaną jak te egzemplarze. Kiedy wreszcie znajdzie się ktoś wpływowy, kto zwróci ministerstwu uwagę, że stemplowanie znaczków nie polega na niszczeniu ich!

Omówioną w poprzednim numerze Rumunję możemy już pokazać w oryginale, zresztą mało ciekawym, bo jest to tylko przedruk na normalnej 10 lei oraz 7,5 lei. Interesującem jest jednak właśnie to, że znaczek nosi obecnie nazwę 3 państw i datę powstania Małej Ententy.

Wielu filatelistów zwróciło nam uwagę, że w odczycie dla starszych chłopców wygłoszonym przed mikrofonem rozgłośni katowickiej poza szeregiem bardzo pożytecznych wiadomości o znaczkach poruszono problem znaczków niestemplowanych i przedstawiono go najzupełniej fałszywie. Nie chcemy przypuścić jakoby prelegent nie znał cen katalogowych, ale twierdzenie, że znaczki stemplowane są więcej warte od „czystych" mija się z rzeczywistością, bo 90% znaczków jest droższych w stanie nieużytym. Dziwimy się dlaczego wciąż jeszcze pokutuje u ludzi niemających nic z filatelistyką wspólnego pogląd, że w zbiorach powinny się znajdować wyłącznie sztuki stemplowane, ale wprost nie możemy pojąć jak mógł fachowiec wygłosić przez radjo zdaniem: „lepszy znaczek czysty niż żaden".

W odczytach popularnych nie należy wyrażać swych osobistych specyficznych poglądów, bo pociąga to za sobą mylne tworzenie pojęć u laików i początkujących. Ustalono, że wartość posiadają zarówno marki nowe, jak i skasowane, i do obalenia tego poglądu nigdy nie dojdzie. Powtarzamy „nigdy", chociaż istnieje dużo takich, którzy zbierają albo same stemplowane, albo wyłącznie niestemplowane.

Zmiana ustalonego obecnie poglądu pociągnęłaby za sobą utratę wartości jednej z tych kategorji.

Wobec tego że znaczków stemplowanych istnieje nieskończenie więcej aniżeli nieużytych (i dlatego właśnie są one o tyle tańsze), uznanie tego rodzaju za bezwartościowy pociągnęłoby za sobą poprostu upadek filatelistyki.

Natomiast najwykwintniejsze zbiory zawierają przeważnie sztuki nietknięte stemplem, które można dzięki temu oglądać w całej okazałości i do tego powinno się zawsze dążyć, aby posiadany album robił wrażenie estetyczne tak pod względem zewnętrznym, jak i co do doboru jakości znaczków.

Oczekujemy dalszych prelekcji radjowych z zaciekawieniem, ale wiadomość o małej wartości czystych marek wymaga sprostowania.

Witold Horain.

Uśmiechem przez życie — i scenę...

Stanisława Orska w roli porucznika Lulu w „Zakochanej Królowej"
Fot. Van Dyck — Warszawa.

Słyszę dźwięczny, serdeczny śmiech, w chwilę potem zauważyłem zbliżającą się w mym kierunku zgrabną osóbkę w eleganckim stroju sportowym, ślizgawkowym — i wreszcie poznaję — Stanisławę Orską.

— Hallo! Dzień dobry! — wołam — co pani tu robi?

— No jak pan myśli? Cóż mogę robić na ślizgawce?

Orjentuję się, że zadałe mpytanie o niezbyt... głębokim podkładzie filozoficznym! Stoję zakłopotany. Wybawia mnie z tego rozbawiona pani Stasia, żartując wesoło:

— Udaję, że jestem w St. Moritz. Wie pan dobrze, jak kocham słońce, ruch, swobodę i sport. A że praca nie pozwala mi opuścić Warszawy, korzystam z wolnego przedpołudnia. Moje dwie namiętności: w lecie plaża, w zimie saneczki i ślizgawka.

— Czy tu, na lodzie też panią nazywają „Nasze słoneczko"? — zapytuję, pamiętając, jakim przydomkiem ochrzczono Stanisławę Orską na plaży w Hallerowie, gdzie bywa corocznie.

— O! Pamięta pan jeszcze to wyrażenie?

— No jakże! Przecież trudno zapomnieć, jak wprost przemocą trzeba było odrywać Panią na plaży od siatkówki. I zawsze z tym serdecznym, słonecznym uśmiechem...

Stanisławę Orską śmiało nazwać można dzisiaj czołową polską wodewilistką. Choć przez pełne dwa lata nie widziano jej zupełnie na scenie, wróciła obecnie na stałe do operetki i z powodzeniem występuje w warszawskiej „Operetce" w roli porucznika Lulu Annemarie, w „Zakochanej Królowej". Obdarzona miłym lirycznym sopranem, a nadewszystko będąc wprost wcieleniem werwy i humoru, stale uśmiechnięta, zbiera żywe oklaski i coraz dobitniej utrwala się na stanowisku „ulubienicy publiczności". Z dawnych ról Stanisławy Orskiej, z czasów „Operetki na Kredytowej" pamiętamy jej wiośnianą postać w farsie muzycznej „To lubią kobiety", a zwłaszcza w roli Krysi w „Rozkosznej dziewczynie", wystawionej w swoim czasie przez Teatr Polski, gdzie p. Orska była partnerką Dymszy. W roku ubiegłym artystka święciła również triumfy na scenie warszawskiego IPS-u w lekkich piosenkach, jak walc „François", tanga Müllera „Kwiaty, czy wy wiecie" i „Jeśli kochasz mnie", które należą do stałego repertuaru Pani Stasi. Obecnie p. Oska tworzy wraz z Ruszkowskim doskonałą parę wodewilistów w „Zakochanej Królowej". Orska jest oficerem gwardji przybocznej owej zakochanej królowej, a Ruszkowski jej amantem. Doskonała jest scena poznania się tej pary w pierwszym akcie. Ruszkowski stoi oczarowany wdziękiem ładnego oficerka w mundurze, który, mówiąc szczerze, jest tylko... szczątkiem munduru. Podporucznik Lulu pyta: „Na co pan tak patrzy"? Na to amant mówi poważnie: „Podziwiam k o r p u s oficerski...". Śpiewają następnie wesoły duet o refrenie:

„Oficerem, jak cukierek
Aż chciałoby się gryźć,
Daj komendę,
Słuchać będę,
Rozkazuj dokąd iść...".

Wesołe perypetje tej pary, która wreszcie zostaje zamknięta za jakieś wielkie przewinienia w więzieniu, we... wspólnej sali, żywo śledzi publiczność i wnoszą one do przedstawienia wiele humoru.

— Jak to się dzieje — pytam Stanisławę Orską — że pani ma tyle humoru nietylko w życiu, ale i na scenie? O teatrze mówi się przecież, iż to jest ciężka praca, że śmiech jest tam tylko udany, wygrany przez aktora?

— Nic podobnego! — zaprzecza gwałtownie artystka. — Trzeba mieć tylko jedną zasadę: niczem zbytnio się nie przejmować! A poza tem kochać młodość i słońce. Wówczas można nie żałować śmiechu i sobie i swoim bliskim w życiu codziennem i publiczności w teatrze!

Romil.

STANISŁAWA ORSKA



STRACH

ROMAN BACH-ŻELEWSKI ★ NOWELA

Nalał sobie pół szklanki whisky i wypił duszkiem. Siedział wciśnięty w kąt pokoju, tak by widzieć okno znajdujące się z boku i drzwi, nie będąc samemu widzianym. Na stoliku przed nim stała butelka whisky i szklanka, oraz leżał przygotowany do strzału Colt, o ścianę zaś był oparty karabin. Za oknem, zasłoniętem drewnianemi okiennicami, rozpościerała się czarna, bezksiężycowa noc, pełna parności dławiącą gardło i wzmagającą pulsowanie krwi. Chwilami zrywał się gorący wiatr i szarpał liśćmi palm z wściekłą, zwiększającą się ciągle siłą. Zbliżał się sztorm. Potworna była groza tej kolejności nieruchomej ciszy i szatańskiej wściekłości wichru. Nerwy napięte do ostatnich granic, rozchybotały się za każdym atakiem wichru w jego takt. Sięgał wówczas po szklankę i pił.

— — — — — — — — —

Pat Traveler w dwudziestym siódmym roku życia poczuł potrzebę doprowadzenia do równowagi swego stanu psychicznego i.. finansowego, obu mocno nadszarpniętych trybem życia. To też ucieszył się wielce, gdy jedna z angielskich kompanji handlowych zawarła z nim kontrakt, powierzając mu prowadzenie faktorji na wyspie, a raczej atolu Peite. Zadaniem jego było wymieniać przedmioty codziennej potrzeby wyspiarzy na wydobywane przez nich z oceanu perly. Co trzy miesiące miał się zjawiać w Peite mały szkuner „Lilly", będący własnością Kompanji, uzupełniając jego zapasy i dowożąc pocztę, a zabierając perly. Pat znajdował więc to, czego pragnął: samotność, gdyż prócz „Lilly" nie zawijał tu żaden statek, chyba przypadkowo, a tubylcy według słów dowódcy szkunera kapitana Wollera, trzymali się zdala od faktorji, byli jednak łagodni i spokojni jak długo się ich nie drażniło. Wtedy stawali się mściwi i zawzięci.

Pat Traveller zastał w faktorji swego poprzednika, który po upływie zastrzeżonych kontraktem pięciu lat, wracał do kraju. Wtajemniczony przez niego w swe nowe obowiązki, był świadkiem, jak po czterech dniach „Lilly" odpływała, przerywając wszelki jego kontakt z światem cywilizowanym na przeciąg trzech miesięcy. Gdy statek zniknął mu z oczu, wrócił do domu pełen wielkiej radości, iż rozpoczął nowe życie.

Już po kilku jednak dniach radość jego zmalała: zaczął rozumieć, że przecenił swe siły. Był to zbyt nagły skok: z życia wielkomiejskiego i to życia hulaszczego, został on, Pat Traveller, który nigdy z przyrodą poza miejskiemi ogrodami się nie spotykał, przeniesiony w samo jej centrum — na mały atol, otoczony bezkresnym oceanem. Jest jedynym białym w promieniu kilkuset mil morskich. Dla jego chorej psychiki był to wstrząs zbyt gwałtowny. Szczególnie boleśnie odczuwał skazanie na towarzystwo wyłącznie wyspiarzy. Byli mu obcy i wiedział, iż on im jest obcy. Potęgowała to wrażenie kompletna nieznajomość ich języka, oraz szczupłość angielskiego słownika wyspiarzy, obejmującego jedynie wyrazy konieczne w obrocie handlowym. Musiał się porozumiewać na migi.

Pierwsze dwa miesiące upłynęły mu dzień po dniu nieslychanie jednakowo, monotonnie. Handel z wyspiarzami nie zajmował mu wiele czasu i choć rozumiał już trochę ich język, nie potrafił się zbliżyć do nich. Żył w faktorji sam z milczącym służącym Mele. Czuł się coraz gorzej — nerwy stargane poprzedniem życiem nie znalazły w samotności ukojenia, lecz nową pożywkę dla swego rozstroju. Miał dużo, bardzo dużo czasu, gdyż książki i czasopisma przeczytał prędko. Poświęcał go zastanawianiu się nad sobą, autoanalizie. Przechodził w myśli całe swoje życie, szczegół po szczególe — obserwował, ważył, oceniał. Zatrzymał się dłużej na fakcie, iż jego nadzieje związane z tem nowem życiem, prysły jak bańka mydlana. Poczuł się słabym, beznadziejnie słabym i ogarnęła go rozpacz. Wówczas — począł pić. Alkohol dawał mu zapomnienie rozpaczy, słabości i samotności. Stwał się innym człowiekiem. Niechęć, jaką odczuwał do siebie, zmieniała swój kierunek: stawał się groźnym dla otoczenia. Tubylcy prędko się w tem zorjentowali i unikali go w takich chwilach.

Lecz oto nadszedł dzień, który miał zaważyć decydująco na jego dalszych losach. Pod wieczór, gdy Pat był już zupełnie pod wpływem znacznej ilości wypitego alkoholu, nadpłynął z odległego o półtorej mili morskiej atolu pirogą stary Nahu, otoczony powszechną czcią dla swej mądrości, ale i lękiem z powodu odwagi i mściwości, które go cechowały od wczesnej młodości. Mimo jego podeszłego wieku lęk ten nie zmniejszył się, przeciwnie wzrósł może, gdyż zabobonni tubylcy widzieli coś nadprzyrodzonego w fakcie, iż Nahu w całem swem burzliwem i pełnem niebezpieczeństw życiu, nie odniósł żadnej poważniejszej rany. Otóż Nahu przybył, by wymienić perly złowione przez siebie i całą rodzinę, na tytoń i inne potrzebne im towary. Wszedł więc na werandę faktorji, nie zatrzymany przez nikogo, gdyż mieszkańcy atolu jak zwykle, gdy Traveller był pijany, unikali sąsiedztwa faktorji, Mele zaś schronił się do swej izdebki. Pat leżał na szezlągu z oczyma nabieglemi krwią i pił. W takich momentach nic go bardziej nie wyprowadzało z równowagi, jak jakiś ruch w pobliżu. Gdy więc nagle zjawił się przed nim Nahu, a za nim trzej jego towarzysze, zerwał się z dzikim rykiem i nim starzec zdołał się usunąć, potężnem uderzeniem pięści zrzucił go ze schodów werandy pod nogi oszołomionych nieoczekiwanym napadem wyspiarzy. Lecz widok leżącego bez ruchu Nahu otrzeźwił go w mgnieniu oka niemal zupełnie — sądził bowiem, że zabił człowieka, a to dla przewrażliwionej psychiki mieszkańca miasta, obracającego się tylko w atmosferze barów i salonów — było wrażeniem zbyt silnem. Pierwszym jego odruchem było pobiec z pomocą, powstrzymał się jednak powodowany fałszywym wstydem przed przyznaniem się do niewłaściwości postąpienia. Usiadł, z pozorną obojętnością patrząc, jak towarzysze spieszyli z ratunkiem staremu wyspiarzowi. Odetchnął z ulgą, widząc, że żyje. Po chwili wyspiarze postawili Nahu na drżących nogach i ujęli pod ręce. Pat spojrzał w twarz starcowi i wstrząsnął się na widok czarnych, ziejących wściekłością i nienawiścią oczu.

— Nie dożyjesz przybycia statku!

Głos Nahu był cichy, zawierał w sobie jednak tyle groźby, że Pat jak sparaliżowany, bez słowa, bez gestu sprzeciwu patrzył za unoszonym przez towarzyszy wyspiarzem.

Pat znał opinję, jaką miał Nahu, pamiętał uwagi kapitana Wellera na temat mściwości tubylców, nie lekceważył więc groźby. Zresztą wspomnienie wyrazu dwojga czarnych oczu nie po-

zwalało na lekceważenie. Prześladowały go one w nocy. Zrywał się ciągle i z ręką na kolbie rewolweru wsłuchiwał się z zapartym oddechem. Nic jednak prócz szumu fal łamiących się na rafach atolu i szmeru kołyszących się poważnie liści palm, nie dochodziło do jego uszu. Nazajutrz nie wziął kropli alkoholu do ust, chcąc zachować pełną sprawność umysłu i ciała na wypadek niebezpieczeństwa. Lecz i ten dzień i noc i następne długim szeregiem przeszły bez niczego godnego uwagi. Pat nie miał jednak ani chwili spokoju, ani chwili wypoczynku. W nocy bał się spać, a gdy zmęczenie brało górę i wbrew swej woli zasypiał, zrywał się po chwili w największem przerażeniu i z trudem opanowując drżenie ręki trzymającej Colta, rozglądał się po ciemnym pokoju. Bał się świecić, by nie stanowić dobrego celu. W dzień starał się zawsze tak poruszać, by uniemożliwić zaskoczenie go od tyłu. Zmęczony bezsennością, zasypiał w dzień, choć starał się z tem walczyć. Ciągły wysiłek, ciągła obawa wyczerpały do reszty jego system nerwowy. Za najlżejszym szelestem zrywał się i chwytał za broń, by przekonawszy się o bezpodstawności lęku, opaść bez sił na poprzednie miejsce. Chował twarz w dłoniach i płakał. Czuł się bezsilnem, zaszczutem zwierzęciem. Wiedział, że nie może liczyć na niczyją pomoc. Mieszkańcy atolu nie lubili go, a oprócz tego bali się panicznie Nahu. Postanowił bez względu na kontrakt, bez względu na wszelkie następstwa opuścić przeklęty atol. Oczekiwał przybycia „Lilly" z nadzieją i lękiem równocześnie. Z każdym dniem bliżej było ocalenie, ale i ostateczny termin spełnienia groźby. Powoli wrócił do alkoholu. Pił mniej, jednak organizm wycieńczony potwornym wysiłkiem, reagował coraz silniej.

Nadeszła ostatnia noc.

— — — — — — — — — —

Ciosy wichru stawały się coraz silniejsze, coraz częstsze. Oddech był coraz cięższy, coraz trudniejszy. Serce biło szybko i nierówno. Pot ściekał po całem ciele wąziotkiemi, krętemi strugami. Wpatrywał się piekącemi ze zmęczenia oczyma w czerń przestrzeni zamkniętej czterema ścianami. Początkowo rzucał od czasu do czasu spojrzenie na fosforyzujący krążek zegarka na ręce, by się dowiedzieć, jak daleko jeszcze do zbawczej chwili przybycia szkuneru. Teraz nie robił już tego. Bał się, że nawet ten krótki moment odwrócenia uwagi od drzwi i okna może być zgubnym. Pod wściekłemi uderzeniami sztormu ściany drżały i trzeszczały. Zdawało się, że lada chwila domek spłaszczy się, jakby był zbudowany z kart. Przeklinał los, który zrządził, iż żywioły rozpasały się dziś, właśnie dziś, gdy on rozgrywa ostatnie karty w grze o życie! Przecież zmieszany ryk wichru i oceanu zagłuszyłby wszelkie odgłosy nietylko w sieni, ale i w samym pokoju. Zdany był wyłącznie na wzrok. A przytem „Lily" mogła opóźnić swój przyjazd. Z drugiej strony, w czasie sztormu nikt nie odważyłby się wyjść z domu, a tembardziej płynąć pirogą. Tak, nikt... prócz gnanego chęcią zemsty Nahu! Zadrżał na wspomnienie strasznych, palących oczu. Zdawało mu się, że widzi je przed sobą płonące w ciemności. Zamknął powieki, by odpędzić przerażające wspomnienie. Daremnie. Widział nadal jarzące się dzikim blaskiem punkty. Nagle strach ścisnął stalową dłonią jego serca. Przecież przez moment, gdy miał zamknięte oczy, mógł ktoś wejść! Drżąc na całem ciele, wpatrywał się z rozpaczliwem wytężeniem w ciemność. Nic nie widział, lecz... tak! Czuł, wyraźnie czuł czyjąś obecność w pokoju. I to tam... przy łóżku! W szalonem przerażeniu porwał się na nogi. Colt w jego dłoni pluł kulę za kulą w ciemność pokoju. Szatański łoskot żywiołów pochłonął huk wystrzałów. Oślepiony niemi nie widział już nic. Dygocącą ręką szukał karabinu. W tej chwili potworne uderzenie sztormu wyłamało okiennice i w szaleńczym wirze powietrza Pat poczuł na swej szyi owijającą się pętlę. Nieludzki strach zdławił mu krzyk w gardle. Sięgnął rękoma do szyi. Nogi ugięły się pod nim i runął na twarz.

— — — — — — — — — —

Mele znalazłszy rano swego pana leżącego nieruchomo na ziemi, wybiegł przerażony z domu. Wieść rozeszła się błyskawicznie, budząc bałwochwalczą cześć dla mocy Nahu, który nawet w dwa dni po swej śmierci wskutek obrażeń doznanych podczas owego upadku ze schodów faktorji, potrafił spełnić swą groźbę.

— — — — — — — — — —

W dzienniku okrętowym „Lily" widnieje pod odnośną datą następująca notatka:

„Rankiem sztorm ustał. Z parogodzinnem zaledwie opóźnieniem zawinęliśmy w Peite. W faktorji znaleźliśmy zwłoki Pata Travellera, zmarłego w nocy prawdopodobnie na serce, wskutek strachu, mającego źródło w nadużyciu alkoholu. Do powyższego wniosku upoważnia znajdująca się przy zwłokach prawie pusta butelka whisky, Colt z wystrzelanym magazynem i brak najmniejszych śladów gwałtu. Szyję luźno owijał koniec sznura do ściągania zasłony przy oknie, zaczepiony zapewne przez podmuch wichru. Zabrawszy wszelkie dokumenty, pochowaliśmy Pata Traveller w pobliżu faktorji".

KONIEC.

CIEKAWE WIADOMOŚCI

NAJPRECYZYJNIEJSZY ZEGAR ŚWIATA.



Niemiecki uczony Manfred von Ardenne skonstruował zegar, poruszany zapomocą promieni elektronów, które rejestrują czas aż do 1/60 miljonowej sekundy. Zwłaszcza dla badania zjawisk, związanych z echem, zegar ma duże znaczenie. Na zdjęciu wynalazcy podczas doświadczeń z wynalezionym przez siebie zegarem.

„OSTATNI MOHIKANIN" TEATRU MARJONETEK.



Tak niegdyś lubiane i popularne teatry marjonetek wyparte zostały obecnie przez kino, które zdobyło również sympatję młodocianych widzów. Jednym z ostatnich konstruktorów teatru marjonetek w Londynie jest mister Pollock, który, chociaż dźwiga już 80 lat na swych barkach, osobiście wykańcza teatry marjonetek, budowane w jego warsztacie. Ginący ten rodzaj rozrywki należał jeszcze kilkadziesiąt lat temu do najbardziej popularnych i... rentownych. — Obecnie dzieli on los dorożek konnych, które w Londynie, w ilości 24, opierają się jeszcze wszystko zalewającej fali postępu. Jak widzimy na zdjęciu, mr. Pollock nie zapatruje się optymistycznie na przyszłość swego „teatru".

ZŁOTO NA WADZE KUCHENNEJ.



Pewnemu geologowi kanadyjskiemu udało się odszukać bryłkę złota, zwaną w gwarze poszukiwaczy „nugget", która posiada wartość 2.500 dolarów. Szczęśliwy znalazca waży swoją zdobycz na zwykłej wadze kuchennej, której wskazówka zatrzymała się na liczbie 4, skąd łatwy wniosek, że 4 kg brudnego złota posiada wartość około 12.000 złotych!

W KRAJU TYSIĄCA KAMIENNYCH BOGÓW



Święta Wyspa na rzece Hindus w okolicy Rohri słynie z świątyni mahometańskiej.

Prastarą jest sztuka indyjska, tak jak prastare są dzieje narodu i religji, osnutej na tle symbolów zjawisk meteorologicznych i planetarnych.

Ludy Indyj opętane są rytuałem religijnym, jak żadne inne. Wszystkie czynności fizyczne związane są ściśle z symboliką i z wykonywaniem obrządków religijnych. Kapłani posiadają władzę zaklinania bogów i zmieniania ich wyroków, co daje im bezkresną władzę nad duszami ludu.

Świątynie indyjskie, których czar i urok przedstawiamy w załączonych ilustracjach nie są dziełami samych li tylko architektów, ale i mistyków religijnych, wyrażających w swych dziełach mocarną potęgę bogów, przedstawianych w postaciach zwierząt i ludzi, z dziesiątkami ramion i nóg, określających w ten sposób ich siłę i potęgę.

Sztuka indyjska posiada zasadniczo trzy okresy: 1) wpływu buddyzmu, 2) bramanizmu i 3) połączenia tych pierwiastków z przewagą braminizmu.

Początkowym okresem powstania sztuki indyjskiej, to III wiek przed Chrystusem, epoka starobuddyjska.

Z tego czasu pochodzą następujące charakterystyczne pomniki architektury:

Stambas, słupy kamienne na kapitelu, na którym umieszczony jest lew, będący aluzją do nazwy Buddy, jako lwa z plemienia Satia, lub też słonie, 2) Saitias, miejsca modlitwy, połączone z grobem jakiegoś proroka, 3) Viharas, klasztory, połączone z halami zebrań, 4) Stupas, (dawne groby królewskie, zawierające relikwje), wybudowane z kamiennego masywu na kwadratowem założeniu, pokryte kopułą, będącą symbolem znikomości świata, wyobrażającą bąbel wody, 5) kamienne obmurowania otaczające grobowce, lub święte drzewa, ozdobione licznemi płaskorzeźbami i kamiennemi bramami.

Najstarsze pomniki architektury, powstałe pod wpływem sztuki perskiej pochodzą z czasów panowania króla Aszoka z r. 250 przed Chr. Jest to epoka zwycięstwa buddyzmu. W II wieku przed Chr. widoczne są wpływy greckie po pochodzie przez Azję Aleksandra Macedońskiego.

Pomniki architektury z tego okresu noszą miano grecko-buddyjskich. Do nich należą klasztory Gandhara, powstałe z ruin klasztorów króla Gandhary, znalezionych w północno-zachodnich Indjach.

Architekt greko-buddyjski aczkolwiek opierał się na klasycznej formie greckiej, jednak przetrawił ją indywidualnie i w innym materjale budowlanym.

Cechą religji i natury hindusów, to głębia uczucia i bogactwo fantazji, przepajającej nietylko formę rzeźbiarską, ale i architektoniczną. Hindusey architekci nie mogą utrzymać na wodzy swej fantazji, brak im harmonji i spokoju Greków, rozlubowali się natomiast w chaotycznem nagromadzeniu form i ornamentów.

Wrażenie, jakie odnosimy przy podziwianiu pomników architektury staroindyjskiej oszałamia nas bogactwem fantazji i masą personifikacyj bogów przedstawionych w bryle, płaskorzeźbie i w ornamentach.

Bramańskie świątynie skalne składają się z czworobocznej hali, często nieregularnie zabudowanej, w głębi której znajduje się sanktuarjum z symbolem bóstwa. Płaski dach tej bazyliki podtrzymywany jest przez rzędy monolitowych kolumn, bogato ozdobionych, zwykle przeładowanych ornamentyką. Skalne świątynie buddyjskie nie mają wolnego dostępu, lecz są połączone długiemi korytarzami, sklepionemi w kształcie podkowy, oraz licznemi portykami, złożonemi z kolum ośmiobocznych bez podstawy i głowicy. Na szczycie tych kolumn znajdują się fantastyczne rzeźby smoków, zwierząt i bogów. Na tle niszy ołtarza znajduje się świątynia Buddy, przedstawiona stereotypowo według tradycji klasztorów Gandhary.

Najstarsze rzeźby hinduskie, przedstawiające Buddę stworzono pod wpływem ideału greckiego Apollina. Sztuka jednak indyjska na skutek swej wewnętrznej uczuciowej dynamiki odeszła od form greckich i wpadła w zaczarowany ogród bogactwa ornamentyki i przedziwnych symbolicznych postaci bóstw.

Greko-buddyjski okres trwał mniej więcej do IV-tego wieku po Chrystu-



Na lewo: Olbrzymia postać Buddy, wykuta w skale w okolicy Gwalioru.



Na prawo: Świątynia klasztoru Gandhara, odznaczająca się wielkim przepychem indyjskiej architektury.

sie, poczem nastąpiła, — jak wspomnieliśmy — epoka wpływu bramańskiego, trwająca do VI wieku po Chr. Z tego to okresu pochodzą „słupy" w okręgu Manikale wzdłuż Kabulu na zachód od Indu, oraz „słupy" w Ajnta i Bang nad rzeką Nerbudą z olbrzymiemi salami, wspartemi na setkach kamiennych kolumn, otoczone jeszcze szeregiem mniejszych bocznych naw. Zwłaszcza w prowincji Kaszmir świątynie z tego okresu odznaczają się pięknością dekoracyjnej sztuki.

Trzeci okres sięga do XIII w. i odznacza się rozwojem „vihar", lub „chaitya" (klasztorów wykutych w skale). W tym ostatnim okresie świątynie zbliżone są do bazylik staro-chrześcijańskich i składają się z nawy środkowej, szerokiej, i dwóch węższych bocznych, zaokrąglających się w miejscu wielkiego ołtarza. Najwięcej pomników z tego okresu znajduje się w północnej części zachodniego łańcucha gór Gat, jak i na wyspie Salsecie koło Bombaju.

Na królewskiej drodze wiodącej przez Kabulistan do Persji wznoszą się ciekawe budowle, zwane „topami". Są to wieże wysokie od 15—25 m, zakończone bogatem, koronkowem uwieńczeniem, rzeźbionem w kamieniu, zwanem „ti", albo „tee". Mieszczą one jakoby buddyjskie relikwje, a powstały w okresie między II a VII wiekiem po Chr. Z tej epoki pochodzą olbrzymie płaskorzeźby kute w skale, przedstawiające bogów w gigantycznych rzeźbach, dochodzących 40-metrowej wysokości.

W świątyniach hinduskich przedstawiona jest plastycznie historja tysięcy bogów tej przedziwnej religji, powstałej z ksiąg Wedy, a w ciągu wieków zmienianej pod wpływem kapłańskiej kasty bramanów.

Bogi Indów są siłami natury i wcieleniem żywiołów, lecz łączą w sobie pojęcie moralności, zamieniające naiwne mity na religję.



Powyżej: Jedna z hal świątyni Dilwara Dżain należy ze względu na wspaniale rzeźbione kolumny z białego marmuru do największych zabytków Indyj.



Na prawo: »Hanuman« — bożek małp gra na olimpie hinduskim niebylejaką rolę.

Poniżej: Oto wnętrze wspaniałej świątyni w Jannagar, słynącej z bezcennych ornamentów srebrnych i złotych.



W kole: Hindus z Sitapur (państwo Palitana), modlący się przed domowym ołtarzem.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. DELIUS — PARYŻ.

Dreszcz nieskończoności, tęsknota do czegoś wyższego budzi się pod gwiaździstem niebem Indyj. Wiatr jest tchnieniem Varuny, słońce jego okiem, posiada władzę życia i śmierci i ma sznury do pętania winowajców. Słońce jest przedmiotem czci, uważane za żywiciela „Savitar", twórcę życia i śmierci. Zorza to zwiastunka słońca (Usha). Ona daje początek licznym mitom poetycznym.

Dobrzy idą do państwa Jamy, źli do Nirukti, lecz po śmierci łączą się dobre siły ze złemi pod nazwą Rakhazas i przybierają postaci olbrzymów, a potwory, przybierają postać wilków, lub psów żarłocznych.

Ziemia połączona z bogiem nieba, jako małżonka jest matką wszelkiego bytu. Głównym przedmiotem czci to ogień (Agni). Jest to pośrednik ludzi i bogów „puhar", w którym spełniają daną sobie ofiarę bogowie. Do nich należą Indra, Waruna, Pardszanja i i.

Atrybuty bóstw zlewają się z sobą, a w każdem pojedynczem bóstwie istnieją wszyscy. „Visvacarma", to bóstwo zawierające w sobie wszystkie czyny.

Obok wiary w bogów istnieje wiara w dobre i złe duchy, zaludniające ziemię.

Hindusi wierzą w nieśmiertelność duszy i uprawiają kult zmarłych przodków. Bogom składa się ofiary, wznosi do nich liczne przepisane na pory dnia modły.

Istnieje wiara, iż zapomocą czarów i guseł odmienić można wyroki bogów.

Bramanizm uznawał wędrówkę dusz po śmierci, rozpływających się we wszechświecie i tworzących zbiorową duszę świata.

Wspomniane wierzenia tworzą osnowę motywów, wypowiedzianych plastycznie w architekturze, rzeźbie i ornamentyce hinduskiej.

Chaotyczność religijnej treści łączy się z chaotycznością artystycznej twórczości.

Tysiące bóstw z mitologji hinduskiej zaludniają świątynie, tworząc fantastyczny świat baśni tej prastarej kolebki ludzkości, jaką jest legendarna kraina rozpościerająca się nad Gangesem. **mdd.**

KLASZTORY GANDHARA

Fot. Delius — Paryż.



WARDZIŃSKI — THE POLISH HERO OF TEXAS



Porucznik Feliks Andrzej Wardziński, bohater Teksasu.

W ub. r. Teksas — największy stan A. P. — obchodziło stulecie swej niepodległości, o którą przez szereg lat walczyło z Meksykiem. Rocznica ta dla nas — Polaków — jest szczególnie ważną, bo „odkrywa" zasługi rodaków, którzy swymi trudami, krwią, a nawet życiem przyczynili się do zdobycia i utrwalenia samoistnego bytu tego stanu, a tem samem zyskali dla imienia polskiego osobną kartę w historji Texasu.

Należał do nich i Feliks Andrzej Wardziński, urodzony w Polsce w 1801 r., który walczył jako porucznik warszawskiego 4 pułku piechoty w powstaniu listopadowem. Był to szatyn, słusznego wzrostu, o jasnej cerze, ciemnych niebieskich oczach i małym kręconym wąsie. Po upadku powstania przedostaje się wraz z uchodzącymi przed Moskalem oddziałami do Austrji, skąd w roku 1834 zostaje deportowany przez rząd austrjacki do Stanów Zjednoczonych. Razem z nim jedzie 235 żołnierzy i oficerów, wśród których znajdują się porucznik Napoleon Dembiński, bracia Franciszek i Adolf Pietraszewicze, porucznik Feliks Kartuski i inni.

W tym czasie, kiedy Wardziński i towarzysze lądowali w Nowym Jorku, na terenie Teksasu mieszkało kilkanaście tysięcy Amerykanów, przybyłych ze Wschodu, aby tu szukać szczęścia i bogactw. Wyzwolony z pod władzy hiszpańskiej Meksyk uważał Teksas za swoją kolonję i niechętnie patrzył na napływ emigrantów amerykańskich, którzy często podnosili bunty przeciw tyrańskiemu rządowi. Nie podobało się to zwłaszcza ówczesnemu dyktatorowi Meksyku gen. Antonio Lopez de Santa Anna, który w 1834 roku wysłał do Teksasu swego szwagra gen. Cosa z półtora tysiącem wojska, aby ostatecznie rozbić i zmusić do uległości. Teksas. Wkroczenie wojsk meksykańskich do Teksasu wywołało powstanie, o którem wieść szybko dotarła do Nowego Jorku, skąd zaczęły coprędzej zjeżdżać do Teksasu różne ekspedycje. Jedni z pobudek ideowych spieszyli nieść pomoc, inni jechali zwabieni nadzieją własnego interesu, który można upiec przy wojennym ogniu. Do pierwszych należeli Polacy, którym przez deportację na drugą półkulę odebrano ostatnią nadzieję walki o niepodległość własnej ukochanej Ojczyzny.

Pierwsza wyprawa Meksykan skończyła się sromotną klęską, po której musieli się wycofać z Teksasu.

W dwa lata później sam prezydent Meksyku gen. Lopez de Santa Anna objął dowództwo 6-tysięcznej armji, która wkroczyła do Teksasu. Dnia 22 lutego 1836 r. stanęła ona pod murami misji Alamo, gdzie broniła się cała załoga miasta San Antonio, licząca zaledwie 183 ludzi z pułk. Travisem na czele. Mury Alamo, dawnej misji franciszkańskiej, zamienionej w tym czasie na wojskową placówkę, ucierpiały wiele w czasie poprzednich wojen, ale wytrzymały jeszcze 2-tygodniowe oblężenie. W ostatecznym szturmie, który Meksykanie przypuścili 6-go marca, wycięto w pień całą załogę Alamo. Ocalało jedynie kilkoro dzieci i kobiet. Polacy, Adolf i Franciszek Pietraszewicze, oraz Dembiński, którzy dokazywali cudów waleczności, podzielili los reszty obrońców Alamo i wolności Teksasu.

Na prawo: Generał Sam Houston, pod którego rozkazami walczył porucznik Wardziński.





Bohaterski dowódca załogi w Alamo, W. Barrett Travis.



Patrol por. Wardzińskiego przyprowadza przed gen. Houstona prezydenta Meksyku gen. Lopez de Santa Anna (według obrazu, znajdującego się na Kapitolu stanu Teksas w Austin).

Gdy się to działo pod murami Alamo, równocześnie inny oddział Meksykańczyków niszczył napadając znienacka lub podstępnie na inne załogi wojskowych placówek teksaskich. W takiej masakrze pod Goliad dali swe życie za Teksas dalsi Polacy: Teodor Piotrowicz, Skrzyniecki i inni.

Nadeszła wreszcie kolej na najliczniejsze stosunkowo oddziały Teksasu gen. Sam Houstona, pod którego rozkazy zaciągnął się znany nam już porucznik Wardziński. Do walnej rozprawy przyszło w klinie rzek Buffalo i Vince, gdzie znalazły się obie armje. Tam też byłoby wojsko Houstona uciekło przed dwakroć liczniejszym i lepiej uzbrojonym wrogiem, gdyby nie kapitalny pomysł Wardzińskiego, który uzyskawszy zgodę naczelnego wodza, z nieliczną garstką towarzyszy broni przedostał się na tyły nieprzyjaciela i zniszczył most na rzece Vince, jedyną drogę ucieczki jednych i drugich. Słabszym Teksykańczykom pozostawało tylko zwyciężyć, lub zginąć. Rozpętała się mordercza walka, w czasie której wojska meksykańskie w popłochu zaczęły się cofać ku rzece. Brak mostu powiększył panikę. Uciekający rzucali się w nurty rzeki; resztę bez pardonu zabijano.

Bilans walki był dla Meksyku opłakany. Siedmiuset rzuciło broń i dostało się do niewoli, 630 legło na pobojowisku, 205 zostało rannych; reszta utonęła w rzece, względnie uciekła w panice. Nazajutrz rano powrócił Wardziński ze swym patrolem, prowadząc ostatniego jeńca. Był nim prezydent i dyktator Meksyku, gen. Lopez de Santa Anna. Wojna o niepodległość Teksasu dobiegła końca. Alamo i Goliad zostały pomszczone. Pomszczona też została śmierć polskich ochotników, którzy tak ofiarnie dali życie za wolność swej przybranej drugiej ojczyzny. Związany lassem prezydent Meksyku okupił swą wolność i powrót do swej stolicy traktatem, którym uznał niepodległość stanu Teksas. Meksykanie wynieśli się za rzekę Rio Grande, a gen. Sam Houston, zwycięski wódz Amerykanów, został wybrany prezydentem wolnej republiki teksańskiej.

Nastały czasy pokojowe. Wardziński, który słabo władał językiem angielskim, nie mógł mimo swych zasług sięgnąć po odpowiednie stanowi



Na lewo: Kaplica misji w Alamo łączy się ściśle z dziejami walk o niepodległość Teksasu.



Na prawo: Obrona Alamo według obrazu na Kapitolu stanu Teksas w Austin.

sko. Kiedy po ranach i trudach wojennych długo nie wracał do zdrowia, został 5 sierpnia 1837 r. zwolniony z wojska w 36 roku życia. Za zasługi na polu chwały i wierną służbę republika teksaska nadała mu 230 akrów ziemi ornej w powiecie Harris. Bohater Teksasu zmienił miecz na lemiesz i dobrawszy sobie kilku Polaków, dawnych towarzyszy broni, osiadł na roli.

Nie długo jednak to trwało. Przybrana ojczyzna znowu znalazła się w potrzebie. Kiedy bowiem w 1845 r. republika teksaska przyłączyła się dobrowolnie do Stanów Zjednoczonych, niepoprawny prezydent Meksyku gen. Lopez rozpoczął nową wojnę. Wardziński, liczący już wówczas 45 lat zaciąga się jako zwykły szeregowiec, tym razem pod gwiaździsty sztandar i walczy przeciw Meksykowi na wielu polach bitew świecąc zawsze podziwu godną odwagą, męstwem i inicjatywą.

Odznaczył się szczególnie w czasie ciężkich walk o miasto Monterey w Kalifornji. Jednym z oddziałów ułanów meksykańskich dowodziła kobieta, Dos Amades, która w czasie natarcia zabiła na ulicy miasta kapitana Fielda, przyjaciela Wardzińskiego. Śmierć przyjaciela z ręki tej krwiożerczej amazonki uważał Wardziński za największą hańbę, którą poprzysiągł pomścić osobiście na głowie „komendanta w spódnicy".

Cztery dni trwało zdobywanie miasta, gdzie każdy dom był warownią. W czwartym dniu, kiedy Meksykanie widzieli swą nieuniknioną klęskę, zaproponowali Amerykanom pokój pod warunkiem, że będzie im wolno bezpiecznie odmaszerować z miasta. W czasie, kiedy toczyły się targi o warunki rozejmu, Wardziński, pomny swej przysięgi, przebrany za Meksykanina, udał się potajemnie do kwatery „komendanta w spódnicy", pięknej Amadesy. Znał język hiszpański i liczył na powodzenie swego ryzykownego przedsięwzięcia. Kazał się więc zameldować, jako poseł od gen. Ampudji, głównodowodzącego wojsk meksykańskch.

— Pani! generał Ampudia przewiduje poddanie się i pragnie pomówić w sprawie osłaniania odwrotu naszych wojsk przez oddział pani.

Przebiegła Amadesa z pewną podejrzliwością odparła: „Nie wątpię, że jest pan członkiem sztabu generała, lecz gdzie pan ma swój mundur?

— Niebezpiecznie było pokazywać się dziś w mundurze; zresztą wykonałem tylko rozkaz — odparł Wardziński, nie dając się zbić z tropu.

— Różne bywają rozkazy i od różnych pochodzą ludzi — wycedziła przez zęby przebiegła Amadesa, zbliżając się do Wardzińskiego i świdrując go bez przerwy czarnemi, jak węwiel oczyma. — Możeby tak pan zdjął kapelusz przed damą! co?

Wardziński wiedział, że wahać mu się nie wolno. Zdjął szybko kapelusz i skłonił się szarmancko. Amadesa przyjrzała mu się badawczo.

— O! Europejczyk! jasna cera, duże niebieskie oczy... Piękny! — dodała jakby do siebie...

Wardziński czuł, że każda sekunda może go zgubić, więc naglił.

— Pani! nie mamy ani chwili do stracenia. Mogę tylko panią objaśnić, że jestem Hiszpanem w służbie meksykańskiej. Czy możemy już odejść?

— Cóż panu tak pilno? Generałowi nigdy się nie spieszyło; poczeka i teraz. Niech pan usiądzie; nie zaszkodzi nową znajomość pokropić winem.

— Pani żartuje, a chwila nie potemu — rzekł twardo Wardziński, który czuł, że mu ziemia pali się pod nogami Jedziemy.

— Pan jest ordynarny — usiłowała tłumaczyć.

— Jestem w służbie...

— Dla kobiety można zapomnieć o służbie...

— Przepraszam, ale najwidoczniej pani mnie jeszcze nie zna. Najpierw służba...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, kiedy oburzona krzyknęła: — „Zaraz poznamy się lepiej" — i klasnęła w dłonie. Na znak wszedł wysoki i silnie zbudowany oficer.

— Zbadać dokumenty tego posła — rozkazała, wskazując na Wardzińskiego. Wardziński struchlał. Komedja zbliżała się ku końcowi. Łatwo się domyślić, co nastąpiło później. Wardzińskiego, który nie miał przy sobie żadnych dokumentów związano, a wysłany do dowódcy goniec wrócił z wiadomością, że Amadesa nie była wzywana przez wodza, bo nastąpiło już zawieszenie broni i wojska meksykańskie natychmiast mają odmaszerować z miasta.

Przez trzy dni z rzędu sądzono w pułku, że Wardziński został przez Meksykan zamordowany, lecz jakie było zdumienie i radość wszystkich, kiedy ten wrócił do pułku zdrowy. Okazało się, że ognista amazonka meksykańska, która nie cieszyła się dobrą sławą, wzięła Wardzińskiego, jako „osobistego" jeńca i kiedy jednej nocy po zwolnieniu go z więzów ofiarowywała mu swobodę za miłość, ten przebił ją jej własnym sztyletem. Ponieważ noc była ciemna, łatwo wykradł się z obozu i wrócił do swoich towarzyszy broni.

Wojna meksykańsko-amerykańska trwała jeszcze dwa lata. Amerykanie nie tylko zyskali wielkie obszary ziemi, na których powstały stany Nowy Meksyk, Arizona, Kolorado, Nevada i Kalifornja, ale w 1847 r. zajęli stolicę Meksyku, miasto Mexico, z której gen. Lopez i prezydent w jednej osobie musiał pokryjomu uciekać. Dnia 2 lutego 1848 r. Stany Zjednoczone podpisały z Meksykiem traktat pokojowy, w którym rzeka Rio Grande została uznana za granicę między obydwoma państwami.

Wardziński znowu zamienił miecz na lemiesz i długie jeszcze lata szczęśliwie gospodarował na swej farmie.

* * *

Banalnie, jak zwykła bajeczka, kończy się to prawdziwe opowiadanie o bohaterze, który sławę imienia polskiego roznosił po teksaskich prerjach. Nikt nie wie, co się z nim dalej działo. Został zapomniany przez swoich i obcych i dopiero stulecie Teksasu dało okazję do przypomnienia nazwiska tego Czwartaka i uczczenia jego zasług wobec przybranej ojczyzny.

Stan Teksas ufundował mu tablicę w „Sali Bohaterów" na wystawie „Stulecia Teksasu" w Dallas, a zarząd wystawy zorganizował „Dzień polski", poświęcony jego pamięci, w którym wycieczka Polonji z Chicago i harcerze z Polski, bawiący wówczas w St. Zjedn., wzięli udział i złożyli pod tablicą wieńce o barwach polskich.

Stan Teksas uważa słusznie Wardzińskiego za swego bohatera.

Jacek Wnęk.

PRINCE CARNEVAL!







Karjoka, fox, rumba i tango
i czuły straussowski walc —
tańczącą płyniemy falangą —
niech żyje Prince Carneval!

Nim ranek nam oczy zamgławi
w szaleńczy rzucamy się krąg —
niech serce w pijanej zabawie
jak piłka z rąk biegnie do rąk!

W tanecznych suniemy krokach
wśród szczelnie zamkniętych drzwi —
za oknem szalona Europa
krwią pluje i tańczy we krwi...

Za oknem tajemnic mrok dyszy,
a gwiazdy pogasły za mgłą —
silniej uderzyć w klawisze!
niech głośniej struny dziś drżą!

Niech pierot w kolombin ramionach
jedwabne śni jeszcze sny!
niech piosnka przefruwa po tonach,
nim świtu ocknie nas błysk!

Więcej pstrokatych serpentyn
i wino niech wpływa do serc!
niech rosną miłosne pointy
na tchnieniach ballad i scherz!

Ogłusza orkiestry klangot —
oślepia płonący bal —
przez rumbę, przez walczyk,
przez tango
krwią pluje Prince Carneval...

WITOLD ZECHENTER.

MAGJA KLEJNOTÓW


Kryształy analcymu.

Patrzymy na otaczający nas świat i podziwiamy jego najróżnorodniejsze zjawiska, czy jednak uświadamiamy sobie, że jest on jednem wielkiem laboratorjum, w którem dokonują się najbardziej zdumiewające przemiany? Oto zima zaściela białym kobiercem śniegu i lodu bezkresne szlaki szarych, smutnych ścieżyn i zadumanych pól, aby z wiosną wyczarować z ich zgniłych i rozłożonych już ciał, nową krasę wonnych, szmaragdowych łąk i zagajników, w których fiołki i przepiękne białe śnieżyczki czarować będą oczy i serce.

Jakiej jednak cudownej alchemji potrzeba, aby z gliny, piasku, z rozlicznych, najbardziej pospolitych składników ziemi, wyczarować olśniewający djament, przecudny szmaragd, lub niesamowity w swej tajemniczości opal? Dlaczego fascynuje nas ich barwa, ich blask, ich milcząca, lecz jakże bogata w treść mowa?

Oto w jednym z portów nadmorskich staje przed wystawą jubilera prosty chłopiec okrętowy, pochodzący z dalekiej, półdzikiej wyspy. Z pośród najbogatszych i przeróżnych klejnotów dostrzega tylko krwawy rubin, spoczywający na miękiem posłaniu z aksamitu. Chłopak staje olśniony i przygwożdżony do ziemi. Nie może oczu oderwać od klejnotu. Obojętną jest mu jego wartość materjalna; nie zamieniłby go z dziesięciokrotnie większym brylantem! W szaleństwie nieopanowanej żądzy rozbija szybę wystawową i z pochwyconym rubinem ucieka wprost przed siebie... Schwytany i osadzony w więzieniu płacze jak dziecko, ale nie nad swą dolą, lecz nad rubinem, z którym musiał się rozstać.

Oto notatka, która przed kilku laty obiegła pisma zagraniczne, pozostawiając nierozwiązane pytanie: dlaczego prymitywna dusza chłopca okrętowego została tak silnie pociągnięta widokiem tajemniczego klejnotu?

Kamienie szlachetne pozostaną zawsze celem pragnień dla wszystkich ludzi, bez różnicy rasy, barwy skóry, zamiłowań i cywilizacj. Możemy o nich mówić i pisać całe tomy, nie staną się przez to mniej tajemnicze i w swym uroku bardziej zrozumiałe.

Nie mamy tu na myśli barwnych szkiełek, ani klejnotów syntetycznych, sztucznie stworzonych w pracowni chemika, ale kamienie wyrosłe w głębi ziemi, wykołysane miljonami lat, które przepłynęły nad niemi, budując ich kształtne formy i zamykając w nie piękno i duszę ziemi.

Najstarsze cywilizacje świata, których rąbek zaledwie uchyla się przed oczami naszych archeologów i uczonych, wyznają kult kamieni szlachetnych. Spotykamy je w świątyniach Azteków, w grobowcach faraonów, w buddyjskich i chińskich pagodach. Wszędzie jako tajemnicze, a cudowne współczynniki potęg niebieskich, jako talizmany, mające zapewnić szczęście, lub amulety, chroniące przed złem i czarami.

W odwiecznych, z trudem odczytywanych księgach wtajemniczonych i magów snują się uparcie opowieści o czarodziejskiej sile klejnotów.

D j a m e n t obdarza odwagą i pokojem, oraz czystością duszy i serca. Jest to klejnot królów i hierofantów. W rękach zbrodniarza, zaćmiewa się, obleka mgłą i traci swój blask. W świątyni Salomona znane były „Sądy Boże", czyli Ordalje, polegające na tem, że świątynny djament składał arcykapłan na ręce oskarżonego. Jeżeli kamień zciemniał i stracił blask, znaczyło: „winien"! Jeżeli pozostał czystym, oskarżony odzyskiwał wolność i w pełni dobrej sławy wracał do domu. Unikać jednak należy djamentów b a r w n y c h, zwłaszcza niebieskich, różowych lub żółtych. Jest w nich zamknięta moc surowego Saturna, lub groźnego Marsa i tym, którzy je noszą, przysparzają nieszczęść i niepowodzeń.

S z m a r a g d jest amuletem artystów i muzyków. Obdarza serce wieczną młodością, a duszy udziela łagodnego spokoju nocy majowej. Noszony na piersiach leczy konwulsje, febrę i kurcze, oddala bezsenność i zabezpiecza przed „złem spojrzeniem". — Szlifierze klejnotów znają leczniczą siłę szmaragdów. Gdy który z nich zapadnie na częstą w tym zawodzie chorobę oczu, odkładają wszystkie inne kamienie na bok i szlifują same szmaragdy. Chore oczy szybko powracają do zdrowia. Nie należy tylko dawać szmaragdów w „dowód wiernej miłości", o ile nie jest się pewnym, że wierność zostanie dotrzymaną... Szmaragdy wyjawią bowiem zdradę, zmieniając swą wiośnianą zieleń na odcień umierających liści.


Półszlachetne kamienie jako materjał jubilerski: w górnym rzędzie od lewej: akwamaryna z perełkami, oraz topaz z perełkami — w dolnym rzędzie opale.


Kryształ górski.

Sen o szmaragdach jest zapowiedzią zaszczytów, lub awansu.

R u b i n daje aktywność, siłę, moc wytrwania i zdolność zwycięstwa. Sława i jej pożądanie, namiętne porywy i dzika drapieżność, przedsiębiorczość i pionierstwo, głód życia i entuzjazm, odwaga i niezależność, wspaniałomyślność, wypływająca z poczucia mocy i zwycięskiej miłości, pełnia szczęścia i dosytu — to rubin!

Przechowywany w ciemnych kasetkach podwaja swój blask i głęboki odcień czerwieni. Pozostawiony na ciele zmarłego, zatrzymuje podobno proces rozkładu. Noszony na ręce, chroni od zarażenia dżumą i uderzenia piorunu; w pobliżu groźnej trucizny blednie i zmienia barwę. Car Rosji, Piotr Wielki, posiadał olbrzymi rubin i twierdził, że wpatrywaniu się w niego zawdzięczał swą siłę oraz to pionierstwo, które zjednało mu potem przydomek „Wielkiego". Rubin miał wypromieniowywać z siebie specjalną aktywność, która udzielała mu się i zachęcała do wspaniałych czynów.

A m e t y s t zwany „kamieniem Rybaka", bo najpiękniejszy z nich zdobi każdorazowo rękę Papieża — jest kamieniem mistyków i artystów. W sanskrycie nosi nazwę: Przynoszący szczęście. Ochrania on przed złemi atakami losu, chroni przed powodzią, utopieniem się i przed wszelkiemi klęskami rozszalałego żywiołu wody. Ulubiony amulet marynarzy i ludzi, żyjących w bezpośrednim kontakcie z morzem. Jeżeli kobiety noszą ametyst na biodrach, dzieci ich rodzą się piękne i zdrowe. Jest rzeczą stwierdzoną, że robactwo ucieka przed ametystem, a św. Hieronim notuje w swych pismach, że orły, aby osłonić gniazda piskląt przed atakami skalnych wężów, przynoszą ametysty do swoich gniazd. Znaną właściwość oczyszczania i dezynfekowania powietrza, jaką rzekomo posiadają ametysty, odkryto w jednem z niemieckich więzień w czasie grasującej tam epidemji. W każdej celi zaraza porywała ofiary, tylko bardzo nieliczne ostały się przed atakami śmiercionośnych zarazków. Po przeprowadzonych badaniach okazało się, że w tych właśnie „uratowanych" od zarazy celach, więźniowie posiadali ametysty.

Złoty t o p a z przynosi dar słowa i logicznego myślenia. Ponieważ udziela daru „porywania" słuchaczy, jest ulubionym amuletem mówców, literatów, dziennikarzy, adwokatów i prokuratorów. Jest to kamień Merkurego „posłańca bogów".

Niewinny **turkus** daje bogactwo i powodzenie w sprawach materjalnych. Winien być oprawny w srebro! Istnieje twierdzenie, że ręka „uzbrojona“ w turkus, nigdy nie wyciągnie się z prośbą o pomoc do drugich...

Wreszcze niesamowity, piękny jak sen, **opal**, kamień bólu i łez. Zdaniem Ewersa opal jest tem pośród klejnotów, czem opium pośród trucizn. Jest to kamień perwersji, obłędnych snów i szaleństwa. Dla kobiet jest mniej groźnym, a nawet noszony na biodrach, leczy rzekomo bezpłodność. Młodym chłopcom nie zaleca się noszenia opali. Dłuższe ich oddziaływanie budzi niezdrowy głód zmysłów. Opal, położony na „oku“ pawiego pióra, nabiera blasku i piękności. Wpatrywanie się w opal, zachowuje siłę wzroku do późnej starości.

Na dworze carskim panował zdecydowany przesąd co do tragizmu opali. Noszenie tych klejnotów było członkom dworu surowo zakazane. Podobnie lękał się ich król angielski Edward VII. Opowiadają, że gdy odbywały się bale i przyjęcia dworskie, jednemu z dworzan przypadało specjalne zadanie czuwania, aby nikt z zaproszonych nie wszedł na salę, ozdobiony opalami! Musiano je zdejmować i pozostawiać poza obrębem królewskich komnat. Niesamowite te klejnoty zdawały się „panować“ nad ukoronowanemi głowami, siejąc w ich dumnych sercach postrach i grozę...

Czy wobec tylu przesądów, legend i uprzedzeń, którymi powodowali się zawsze ludzie pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi świata, powiemy, że kamienie szlachetne są martwe, głuche i nieczułe, czy też, że posiadają ukrytą siłę, z którą należy się liczyć? Odpowiedź niech każdy znajdzie u siebie. Wszelka teorja pozostanie tutaj martwem i pustem słowem fanatyka lub ignoranta.

Jerzy Garuda.

FILM KONTROLUJE SPRAWNOŚĆ KIEROWCÓW

Berliński Instytut Psychotechniczny wprowadził na wzór analogicznych metod amerykańskich badania sprawności kierowców pojazdów mechanicznych z pomocą filmu. Eksperyment ten udał się nadspodziewanie dobrze i wykazał, że w tej dziedzinie pomysłowość człowieka nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Badania odbywają się wedle następującego schematu: kierowca, zdający egzamin, przechodzi najsamprzód przez kilka sal, w których znajdują się przyrządy, badające spostrzegawczość. I tak np. przy bardzo nikłem oświetleniu trzeba wyliczyć przerwy w kołach, umieszczonych na tablicy, zawieszonej na ścianie. W drugiej znów sali, w której zgaszono światło, pokazuje się kierowcy z pomocą lampy projekcyjnej szereg przedmiotów, wyświetlanych przez ułamek sekundy na ekranie. Od ilości zaobserwowanych szczegółów zależy tu nota tej testy. Niezwykle ważnem jest badanie szybkości, z jaką przyzwyczajają się oczy zdającego egzamin do zmiennych warunków oświetlenia. Specjalny przyrząd bada tę niewątpliwie ważną zdolność kierowcy w ten sposób, że zapala w pewnym momencie przed jego oczami niezwykle intensywne światło, które je oślepia i teraz wszystko zależy od tego, w przeciągu jakiego czasu kierowca zdoła odczytać np. szereg liczb, umieszczonych przed nim na tablicy (analogiczna sytuacja zdarza się nieraz w praktyce, gdy np. spotykamy w nocy samochód, zbliżający się do nas z zapalonymi wielkimi reflektorami).

Po tych wstępnych badaniach kierowca zasiada przy specjalnym mechanizmie kontrolnym, przypominającym do złudzenia kierowczą aparaturę samochodową, umieszczoną w tym wypadku przed ekranem, na którym jest wyświetlany specjalny film, zobrazowujący szereg sytuacyj, sprowadzających katastrofy samochodowe. Kierowca pod wpływem obserwowanych obrazów wykonuje odpowiednie ruchy kierownicą, przekładniami, hamulcami itd., które notują aparaty kontrolne. Na podstawie tych notatek ustala się testy w tym dziale badań. Analogicznie rzecz odbywa się z motorniczym tramwaju, który, rzecz prosta, obsługuje inny przyrząd kontrolny, dostosowany do potrzeb tego pojazdu mechanicznego (vide rysunki).

Mgr. L.



Próba bystrości wzroku: przy słabem świetle należy oznaczyć miejsca, w których przerwane są obręcze na wzorze, zawieszonym na ścianie.

Wszystkie zdjęcia: Fot. J. Scherapow — Berlin.



Powyżej: Aparat kontrolujący sprawność motorniczego, który odbywa fikcyjną przejażdżkę tramwajem, obserwując trasę jazdy na ekranie filmowym.





Od lewej: Zdający egzamin obserwuje na ekranie wypadek samochodowy, a siedząc przy mechaniźmie sztucznego samochodu, musi mu zapobiec przez odpowiednie manipulowanie kierownicą, biegami i hamulcami, które połączone są z aparatami kontrolnemi. — Na prawym obrazku widzimy aparat do badania odporności oczu szofera na oślepienie światłem i szybkość równoczesnego przystosowania się oczu do zwiększonego nagle światła.



Hallo! Czy milczy się dalej?!!

SZOPKA POLITYCZNA
W JEDNEJ OSŁONIE
O KILKU F-AKTACH DOKONANYCH.

ADAM CYPRIAN

OSOBY:

niebiańska telefonistka z wszechświatowej centrali nieporozumień —
uciemię-rzężąca Ziemia —
trzej królowie-monarchowie —
Mika-ka-du,
Stalinek-Kupidynek,
Al-wąsik Hiszpański —
an(-g-)ielski posłannik pokoju —
„ona" — narodów dziwożona —
francuska kobietka —
szary człowiek — „ziemisty synek" —
pędzel pewnego niepokojącego malarza pokojowego.
Chór Bałwanów — Chór Pstrych Koszul.

— — — — — — — —

Rzecz dzieje się w nieokreślonym czasie i przestrzeni. Na scenie, na tle idealnej próżni inscenizacyjnych pomysłów Ziemia, wstawiona całkowicie bezkresnym eterem, bują niepewnie wśród bałwanów optymizmu, kręcąc się wkółko w sytuacji b e z w y j ś c i a.

Chór Bałwanów *na proscenium, przestępując z nogi na nogę, śpiewa wielkim głosem:*

Choć burza huczy wkoło nas,
Tańczmy nasz wieczny, błędny tan —
Kto raz na drogę Głupstwa wlazł,
Odpowiadać musi zań.

A gdy dobiegnie kresu żywot nasz,
Inne b a ł w a n y zrobią znów m i s z-m a s z —
Weselmy bracia się,
Choć G ł u p s t w o w żagle dmie!

Chór Pstrych Koszul *wpada w ostatnią strofkę śpiewu Bałwanów, tworząc w ten sposób wielce harmonijną... kakofonję:*

Każdy z nas swego celu dopnie,
Gdy mocno będzie tego chciał —
Kogo raz nasza r ó z g a kropnie,
Uczyni zeń bezkształtny miał!

Więc bijmy, gdzie popadnie, wszędzie —
Gdzie tylko coś do bicia jest,
Niech hasłem naszem Wszechmoc będzie —
Oto nasz wielkoduszny gest!

Uciemię-rzężąca Ziemia: Uuuuf! Te ciągłe porykiwania spać mi nie dają. A tymczasem eterek robi swoje... upp!... wciąż swoje! Oby tylko nie zarządzono w niebie prohibicji! Już i tak szaleje szmugiel niedorzecznych pomysłów na mój umęczony grzbiet. A coby się to dopiero działo wtedy!! *(drapie się półwyspami po kontynentach)*

(śpiew z za sceny)

Trzej królowie-monarchowie,
Gdzie spiesznie dążycie?

Uciemię-rzężąca Ziemia: Oj, żeby ci przynajmniej cicho siedzieli! Oni wraz z tym an(-g-)ielskim Posłannikiem Pokoju doprowadzą mnie wkońcu do rozpaczy! *(wzdycha ciężko, wydymając się niesamowicie — co powoduje w kraju Mika-ka-du'a pękanie ziemskiej skorupy)*

No! Przynajmniej w jednem miejscu mam satysfakcję. Ten Mika-ka-du dużo mnie zdrowia kosztuje. Wysyła wciąż swe dziecięcia do Azji i bachory bawią się tam w wojsko, kłując mnie ustawicznie w najczulsze miejsca. Albo ten Stalinek-Kupidynek! Siedzi na Kremlu i w imię miłości do rodzaju ludzkiego chce koniecznie zrobić b i t y k r e m ze wszystkich i n n y c h ludzi na mej powłoce... A najgorszy trzeci z nich. Ciągle łazi po mnie tu i tam, drażniąc mi tylko skórę...

(wchodzą trzej królowie-monarchowie z an(-g-)ielskim Posłannikiem Pokoju. Na czele Mika-ka-du, potem Stalinek-Kupidynek, za nimi drepce prędziutko Al-wąsik Hiszpański. Wśród nich snuje się wiecznie ruchliwy, a prawie zupełnie niewidzialny Posłannik Pokoju, związany z Francuską Kobietką nierozerwalnemi węzłami współzawodnictwa. Zdala, w głębi sceny, mnąc kłopotliwie w rękach próżne nadzieje, pojawia się S z a r y C z ł o w i e k).

Mika-ka-du: Panowie! Zebraliśmy się tutaj z łaski Niebios i Opiekuńczych Duchów Nieponiu, by coś podobno uradzić. W tem tylko kłopot, że właściwie nie wiem — co!? Czy nie wiecie przypadkiem Panowie, o co chodzi?...?...?

Stalinek-Kupidynek: Towarzyszu-Cesarzu! Właśnie chciałem Was o to zapytać. Wszystko bowiem, jak się zdaje, robimy co tylko m o ż n a...

Niebiańska Telefonistka z Wszechświatowej Centrali Nieporozumień: ...ale nie to, co t r z e b a! Hallo, czyż m i l c z y się dalej?!

Al-wąsik Hiszpański: Proszę nie przerywać! Proszę nie przerywać!!! *(płaczliwie do reszty towarzystwa):* Ja chcę na tron! Ja chcę na mój królewski stolec!!! Kto mnie posadzi??? Zobaczycie, że od tego zależy pokój świata! Panowie...

Stalinek-Kupidynek *(gniewnie):* Cicho tam w kuchni... politycznej! Tu chodzi nie o p a ń s k i e marne zamysły, lecz o przyszłość świata i ludzkości. Ale oto zbliża się do nas „O n a" — N a r o d ó w D z i w o ż o n a, poronionym rodem z Genewy. Zapytajmy jej o radę, przecież to nowoczesna Pytja, jej konsultacje są tak w i e l o z n a c z n e! *(na scenę w w i e w a s i ę jakaś mglista i nierealna postać o nieokreślonej płci i gatunku).*

Chóry Bałwanów i Pstrych Koszul:

Ach! Ach!! Ach!!! Oooo, rety!!
Cóż to za stworzenie z mgły i galarety???

Francuska Kobietka:

Oui, oui, choć to moje dzieło,
Sama nie wiem — s k ą d się wzięło...

(widziadło widocznie chce coś powiedzieć, ale nie może, czy też nie umie. Rozpaczliwe jego wysiłki zrobienia czegoś pożytecznego powodują powolne rozwiewanie się mglistej postaci, która wkońcu znika zupełnie w bezkresnym eterze. U c i e m i ę-r z ę ż ą c a Z i e m i a wydaje głuchy jęk).

Stalinek-Kupidynek: Towarzyszu-Cesarzu! Zapytajmy wobec tego o radę Posłannika Pokoju. Ach, jakiście Wy, Towarzyszu Angiełowiczu, nieuchwytny! Tylko ta Wasza kobietka ciągle nasuwa mi się na oczy. Gdzież Wy w ł a ś c i w i e s t o i c i e do stu czerwonych djabłów??!!!!

An(-g-)ielski Posłannik Pokoju *(zjawia się nagle tam, gdzie go się najmniej spodziewano):* Yes-tem! Ja mam radę na wszystko! O d d a j c i e s i ę tylko m n i e c a ł k o w i c i e i z pełnem zaufaniem — a zobaczycie, że wtedy będzie ś w i ę t y s-P o k ó j!

Al-wąsik Hiszpański: J a z największą rozkoszą! (przymilnie): A kupis mi tron i koronę? A kupis? *(włazi przemocą do butonierki Posłannika Pokoju i z pełną nadziei minką rozgląda się ciekawie w poszukiwaniu zgubionej r z e c z y n i e p o s p o l i t e j).*

Mika-ka-du *(do Posłannika Pokoju):* Niech bogi Nieponiu będą mi miłościwe! W tem właśnie kłopot, że Pan chcesz tego samego, co i ja i akurat z t e g o p o w o d u nie zgadzamy się! Co za szatański paradoks... cóż Pan na to, Stalinku-Kupidynku?

Stalinek-Kupidynek: Ja chcę tego samego, co i Wy! A zatem cieszmy się, że jedność panuje między nami! J a k w y b r n ą ć z t e g o n i e b e z p i e c z n e g o s t a n o w i s k a???

(kłopotliwe milczenie. Ziemia głucho stęka)

Głos z Niebiańskiej Centrali Nieporozumień: Czy m i l c z y się dalej?!

Szary Człowiek *(nieśmiało występuje na plan... ostatni):* Przepraszam — czy mógłbym coś powiedzieć...?

Chór Bałwanów:

Trzej królowie-monarchowie,
Dokąd-że dążycie?!?

An(-g-)ielski Posłannik Pokoju: Plan mój jest prosty. Ponieważ całkowicie zgadzamy się w tem, że się nikt z nikim nie zgadza — należałoby na p o n o w n e j konferencji uzgodnić tylko punkty niezgody i zgodnie rozejść się w spokoju aż do konferencji następnej. Czy zgoda?

Mika-ka-du i Stalinek-Kupidynek *(radośnie):* Oto idealne wyjście z tej kłopotliwej sytuacji! A zatem, do d z i e ł a Panowie!

Francuska Kobietka: Oui, oui, oui — to moje myśli!!! Więc pocośmy dziś tu przyśli???

(wychodzą zgodnie razem, rozchodząc się w r ó ż n e strony. Ziemia znów się nadyma, słychać trzaski i wrzaski. Chór Bałwanów, przestępując z nogi na nogę, śpiewa wielkim głosem te same zwrotki swej odwiecznej pieśni. Głos z wszechświatowej centrali nieporozumień nadaremnie stara się przekrzyczeć wzrastającą ustawicznie wrzawę. Nad chwiejącą się coraz bardziej w swej ś w i a t o w e j p o s a d z i e Ziemią pojawia się olbrzymi p ę d z e l p e w n e g o n i e p o k o j ą c e g o m a l a r z a p o k o j o w e g o, który w takt coraz to głośniej rozlegającej się pieśni Chóru Pstrych Koszul kreśli na czerwonym firmamencie czarny znak s w a s t y k i).

Na scenie zostaje sam

Szary Człowiek, *mnąc kłopotliwie w drżących rękach p r ó ż n e nadzieje:* Ja c h c i a ł b y m... *(dalsze słowa jego toną w ogólnej wrzawie).*

(K u r t y n a).

„Co mi zrobisz?" – powiedział buldog i skrył się przed mrozem do... spodni swego pana.
Fot. New York Times.



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

„Siałem proso na zagonie"

PIEŚŃ LUDOWA

STANISŁAW LIPSKI (1936)

Andante con moto.

p

Mesto e molto espressivo.

mp

1). Sia-łem pro- so na za-go- nie, nie mogłem go żąć!
2). Pro-so ze- szło, lecz przed żni- wem zbił go zim- ny grad.

p

poco piu mosso.

Po-ko-cha- łem lu- be dziew- czę, nie mogłem go wziąć!
Mo-ją mi- łość do dziew-czy- ny, zły ze-pso- wał świat.

piu vivo

mf

cresc.

Tak siać, ... a nie żąć, ... ko- chać......
Plon zbo-ża zniszczył grad, ... dziew- czę-cia

poco cresc.

piu cresc. e apassionato

a nie wziąć, ... choć zdra-dzi ło lu-be dziew- czę, nie bę-dę go
nie dał świat! .... choć za-wiod- ła mnie na-dzie- ja, wspominam ją.

cresc.

1º klnąć. rad.

2º klnąć. rad.

1º 2º *espress.*

dim. *tranquillo* *dim.*

JOANNA



MARJA KASTERSKA

NOWELA

Zapadł zmierzch, paryski zmierzch blado-błękitny i srebrno-liljowy razem. Niebo i powietrze zdawały się przedziwnie lekkie, miały w sobie coś powiewnie puszystego, uśmiechniętego i tęsknego zarazem, jak na obrazach Corot'a. Żadne niebo na świecie nie ma tego kapryśnego wdzięku, co niebo Paryża. Są nieba piękniejsze, jaśniejsze, bardziej szafirowe, tęskniejsze, lub pogodniejsze. Ale ten wdzięk kapryśny i lekki posiada tylko niebo Paryża. I to jedynie wiosną i wczesną jesienią. Latem jest albo ociężałe i zwiędłe w upalne dni ,albo bezbarwne i smutne w dni niepogody. Zimą, a nawet jesienią od Zaduszek, gdy błyśnie rzadki pogodny dzień, niebo ma blado-turkusową barwę, wystygłą. zimną. A podczas słoty wygląda we dnie jak stary łachman zszarzały, wieczorem zaś odbijając łuny świateł miasta, przypomina dantejskie opisy czeluści piekielnych, sino-czerwonych.

Tego wieczora był zmierzch jesienny, który, mimo pierwszego złota na drzewach Luksemburskiego ogrodu, miał czar wiosenny. Wracałam do domu, a przede mną szedł zapalacz latarni gazowych, których płomyki zaczynały już migotać tam i ówdzie. Gdy weszłam do biura małego i dość prymitywnego, ale taniego bardzo hoteliku pod Nr. 5 starej uliczki des Fossés-Saint-Jacques, hotelarka robiła coś na drutach, a hotelarz czytał uważnie komunikaty z frontu w „Intransigeant". Wzięłam klucz i chciałam już wyjść z biura, aby się wdrapać po chwiejnych i niewygodnych schodach do mego pokoju na trzeciem piętrze, — cały dom posiadał ich tylko cztery — gdy drzwi się otwarły i weszła młoda dziewczyna bardzo skromnie, niemal ubogo, ale i bardzo czysto ubrana. Spojrzałam na nią machinalnie i zdumiałam się. Dziewczyna ta miała typ uderzająco polski. Bujne ciemne włosy — była bez kapelusza — troszeczkę zadarty, ale kształtny nos, śmiejąca się, poczciwa, okrągła twarz o otwartym szczerym wyrazie, wszystko to było takie swojskie, takie polskie, że musiałam powściągnąć mimowolny odruch odezwania się do niej w tym języku. Byłam jednak tak zaciekawiona, że zamiast iść do siebie, pozostałam w biurze. Dziewczyna wzięła klucz, powiedziała parę słów z najczystszym francuskim akcentem i odeszła. Ledwie drzwi zamknęły się za nią, zwróciłam się do hotelarki, madame Besançon:

„Jakaś nowa lokatorka? Jeszcze jej nie widziałam u nas".

Madame Besançon, przystojna, zażywna brunetka, o wesołych czarnych oczach, była główną osobą w hoteliku i trzymała pod pantoflem mizernego monsieur Besançon, o żółtej cerze, żółtawych włosach i żółtych oczach. Biedaczysko był raczej anemiczny i wojna, zabierając wszystkich mężczyzn, zostawiła go w domu rezolutnej małżonce. Była to zresztą niezła kobieta, bardzo dumna z tego, że mieszkała u niej tylko studenterja płci obojej, bo hotelik był tani i bardzo blizko Sorbony, choć pozbawiony wszelkich wygód. Zimą trzeba było anielskiej cierpliwości i wiele czasu, aby napalić w małym brzuchatym piecyku, — najczęściej obywało się bez tego; ktoby tam tracił pieniądze na węgiel, a czas na palenie — a wodę, o ile chciało się jej mieć trochę więcej, trzeba było nosić sobie z dołu na piętra. Ale można było mieć pokój, wcale duży nawet jak na Paryż, za 20 fr., a czasem mały i za 15 fr. na miesiąc.

„Ona tu jest dopiero od paru dni. Zdaje się, że pochodzi z Wogezów, ale pracowała w Reims i musiała stamtąd naturalnie uciekać, jak wszyscy mieszkańcy, gdy Prusacy zaczęli bombardować miasto".

Madame Besançon lubiła być dobrze poinformowaną o życiu swych lokatorów.

— Myślałam, że to jakaś cudzoziemka. .

— O nie, zaprzeczył chuderlawy hotelarz. — Francuzka z Wogezów. Ot, stoi tu zapisane w księdze hotelowej jej nazwisko: Joanna Daussay, widzi pani sama.

Pożegnałam moich hotelarzy i powędrowałam na górę. Zresztą po paru minutach myślałam już o czem innem, zapomniawszy o istnieniu Joanny Daussay.

Przypomniała mi o niem ona sama w parę dni potem. Siedziałam wieczorem, pisząc przy stoliku, który miał jedną nogę trochę kulawą, skutkiem czego kiwał się na lewo i na prawo, ale umiałam sobie z tem radzić przy pomocy podkładanych pod kulawą nogę drzazg i zwitków papieru. Okno moje wychodziło na niewielki, ale cienisty i zielony jeszcze ogród merostwa piątego okręgu.

Zapukano do drzwi ostrożnie.

— Proszę! — zawołałam machinalnie.

Drzwi otworzyły się powoli i stanęła w nich Joanna Daussay.

— Przepraszam panią, ale przyniesiono dla pani list i pakiet, a państwo Besançon jedzą teraz obiad, więc ja ofiarowałam się oddać je pani, przechodząc tędy. Mieszkam o piętro wyżej.

O piętro wyżej był rodzaj strychu, podzielonego na pokoiki-mansardy. Przytułek płatny dla najuboższych lokatorów. Joanna Daussay musiała zatem być jeszcze biedniejsza ode mnie, choć i u mnie się nie przelewało.

— Bardzo pani dziękuję. Może pani usiądzie? — i podsunęłam jej najmniej kulawe krzesełko.

— Właściwie nie powinnam pani przeszkadzać, ale...

Wyrażała się poprawnie, nie używając ani paryskiego „argot", ani prowincjonalizmów. Była w niej jakaś dziwna mięszanina staroświeckiej dystynkcji i mimowolnego prostactwa. Oryginalna dziewczyna! I ten polski typ!

— Ależ nie przeszkadza mi pani, bynajmniej. Dziękuję za list. Pani podobno z Reims?

— Z Reims, — odpowiedziała lakonicznie i umilkła. Poczem z jakąś nagłą decyzją usiadła tak szybko, że zadrżałam o całość mego koślawego krzesełka. Ruchem zakłopotanym miętosiła w ręku chusteczkę:

— Tak, byłam w Reims... Ale czy to prawda, że pani jest Polką?

— Prawda, — odpowiedziałam trochę zdziwiona.

Zaczęła jeszcze mocniej miętosić chusteczkę.

— Bo widzi pani... ja też jestem trochę Polką. Tylko nie rozumiem po polsku. Ojciec mojej matki jeszcze umiał. Ale moja matka już nie, chyba tylko parę wyrazów, a ja nie znam ani języka, ani ludzi stamtąd. .

— Jak nazwisko panieńskie matki pani? — spytałam coraz bardziej zainteresowana.

— Zochowska — wymawiała **Zooska,** ale nie **Zokoska,** jakby wymówiła każda Francuzka. — Brat mojej matki i jego syn jeszcze się tak nazywają. Dziadek był nauczycielem ludowym, ale moi rodzice są już chłopi X., w Wogezach. Podobno ojciec dziadka miał dobrą posadę, lecz umarł młodo i dziadek nie mógł skończyć szkół. Dziadek mówił często, że jego pradziad uciekł z Polski, bo się bił z Moskalami i zostawił tam ziemię, dom i rodzinę. Tylko to już było bardzo dawno, jeszcze przed rewolucją, zdaje się. I długo w rodzinie dziadka chowali jakąś szablę z wizerunkiem Notre-Dame polskiej. Potem gdzieś przepadła, może kto zgubił, czy sprzedał. Dziadek opowiadał także, że jego przodek chciał najpierw wyjechać za swoim generałem do Ameryki, żeby się tam bić za wolność, ale potem został we Francji, bo się ożenił. Szlachcic był, dziadek zawsze pamiętał o tem. A może pani zna w Polsce Zochowskich?

Mówiła z początku powoli, jakby wahająco, potem coraz prędzej, jakby recytując wyuczoną lekcję. Widać ta Polska i to szlachectwo wydawały jej się czemś niezmiernie ważnem, zarówno jak i wspomnienie o polskiej karabeli konfederata barskiego. Uparta i długowieczna jest polska krew, myślałam. Tyle lat, tyle pokoleń i coś trwa wciąż na dnie duszy i serca.

— Polska jest duża i niepodobna mi znać wszystkich Polaków, — odpowiedziałam łagodnie. — Wiem, że istnieje nazwisko Zochowskich, ale nie znam nikogo, ktoby się tak nazywał. Ale o ile to panią interesuje, mogę się postarać dowiedzieć. Choć... teraz... podczas wojny...

— O nie! — potrząsnęła energicznie głową. — Teraz ja nie chcę. Może później, jak mi będzie lepiej, jak znajdę posadę...

— Czy można wiedzieć, jakiej posady pani szuka?

Zaczerwieniła się po same białka oczu.

— To jest... właściwie jeszcze nie szukam.

bo nie mogę. Ale gdy skończę kursa u Pigier...

— U Pigier? uczy się pani pisać na maszynie, czy stenografować?

— Ani jedno, ani drugie, — odpowiedziała mi z pewną dumą. — Uczę się buchalterji.

— Ah, tak!

— Bo widzi pani, to jest robota czysta i inteligentna. Chciałabym się uczyć, mieć dobrą posadę i może... może udałoby mi się potem pojechać do Polski. Tam przecież pewno są jacyś krewni, muszą być Zochowscy. Więc nie mogę im się pokazać jako prostaczka.

O święta naiwności! Szukać krewnych po półtora wieku, po tylu wojnach, tylu burzach! Jak jednak kołacze się coś w tej polskiej duszy nawet u najdalszych potomków emigrantów...

— A w Reims co pani robiła przed wojną, jeśli nie jestem niedyskretną?

Zachmurzyła się znowu. Nie umiała widocznie udawać.

— Pracowałam. Ale ja już sobie pójdę, nie chcę pani zabierać czasu. Tylko jeżeli pani pozwoli, to przyjdę znowu kiedy. Tak pogadać trochę o książkach i... o Polsce.

— Niech pani przychodzi, ile razy zechce, będę pani zawsze rada, — odpowiedziałam serdecznie.

I w taki sposób zaczęła się znajomość moja z Joanną Daussay. Dziwna znajomość. Jak wiele osób z jej poziomem umysłowym, a spragnionych nauki i przytem dręczonych ambicją, Joanna uważała ludzi z wykształceniem, lub kształcących się za istoty wyższe. Coś w rodzaju arystokracji duchowej. I chociaż tak, jak ona, mieszkałam w mizernym hoteliku biedaków z ceglanemi podłogami i bez oświetlenia, chociaż posiniałemi nieraz z chłodu rękami prałam moją bieliznę i bluzki w zimnej wodzie, bo alkohol był zbytkiem i chowało go się do gotowania herbaty, mimo to dla Joanny byłam czemś godnem podziwu i zazdrości.

Powoli oswoiła się ze mną i nawet zaczęła się zwierzać potrochu. Dowiedziałam się, że cała jej rodzina została w Wogezach, zajętych przez wojska niemieckie i że niema żadnych wieści od siostry ani od matki i reszty rodziny. Został tylko szwagier, mąż siostry, August Becker, bo był w wojsku. Później zaś, gdy Joanna po raz pierwszy ścięła się na egzaminie u Pigier i wróciła zmartwiona do domu, odkryłam, że biedna dziewczyna pracuje ciężko, aby módz się uczyć swej cudownej buchalterji, która miała zmienić jej los i życie. Joanna wynajmowała się do mycia podłóg w szpitalach, praca ranna pozwalająca jej uczęszczać na kursy, ale okropnie męcząca.

— Trudno, — mówiła mi. — Jak skończę buchalterję, wszystko będzie inaczej!

Chociaż nie miałam wielkiego pojęcia o specjalności, jaką obrała sobie Joanna, czułam instynktownie, że biednej dziewczynie brak poprostu elementarnych podstaw. Niestety, nie mogłam jej dopomódz w niczem. O cyfrach miałam zawsze słabe wyobrażenie, choć bieda z nędzą nauczyły mnie wybornie liczyć praktycznie.

Przed następnym egzaminem Joanna przyszła do mnie pełna otuchy:

— Wie pani, napewne zdam. — Śniła mi się dziś moja matka. Przyszła do wielkiej sali w banku i nie wie, gdzie się obrócić. I słyszę, że ktoś jej mówi: „Przecież Joanna jest tu buchalterką". „Nie może być, powiada moja matka, toś ty się nauczyła buchalterji?" A ja siedzę przy dużym stole i mówię: „A tak!" — Napewne zdam.

Nie wyśniło się Joannie. Tym razem wróciła do domu zrozpaczona i nawet nie wstąpiła do mnie powiedzieć mi o swojem nieszczęściu. Około 10-tej wieczorem, widząc, że nie przychodzi, zaniepokojona poszłam do niej. W pokoju było ciemno. Zapukałam delikatnie.

— Kto tam? — spytał zlekka ochrypły od płaczu głos Joanny.

— To ja. Czy mogę wejść?

— Zaraz, zaraz... zapalę lampkę.

— Nie trzeba. Przyszłam, bom myślała, że pani smutno. Ale nie powinna się pani poddawać wrażeniu. Trudno: wytrwamy, przetrzymamy i dojdziemy, a raczej dobrniemy do celu.

Usiadłam obok łóżka, na którem leżała i trochę nieśmiało, trochę niezgrabnie pogładziłam ją po rozpalonej głowie. Była cała mokra od łez.

— Nie, ja już nie dojdę do niczego. Mnie chyba tylko do Sekwany. Bo... bo... ja już naprawdę sił nie mam, nie mogę... Tam w szpitalu ciężko bardzo... nie podołam tak dłużej!

Płakała już teraz cicho, żałośnie, jak biedne zmęczone dziecko. Zgrubiała od pracy, małe i dość zgrabne ręce zaciskały się mocno na czyściutkiej białej chustce. Milczałem. Byłyśmy obie czemś nakształt rozbitków życiowych, bez oparcia trwałego, bez przystani. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl:

— Joanno, proszę, niech pani przestanie płakać. Musimy coś poradzić tej biedzie. Najważniejsze, żeby odetchnąć trochę, a potem zobaczymy, co będzie dalej. Czy umie pani trochę gotować i sprzątać mieszkanie?

— Owszem. Ale dlaczego pani o to pyta?

— Mam znajomą literatkę. Osoba starsza, bardzo dobra, zacna i miła. Potrzebuje obecnie kogoś zaufanego, coby się zajął domem, zresztą niewielkim i zrobił obiad i kolację. Pensja nieduża, ale roboty mało. Wypocznie pani, wydobrzeje, a potem znowu zabierze się do pracy dla siebie. Czasu na to starczy.

— Literatka, — powtórzyła Joanna w zamyśleniu. — Jaki piękny zawód! Nieraz marzyłam o tem, żeby zostać literatką.

— No, więc dobrze? Pójdę jutro pomówić z panią L.

— Dziękuję pani. Tylko jedno jeszcze... chciałabym, jeśli można, zatrzymać mój pokój. Wiem, że to rudera, że to dziwactwo z mojej strony, ale zawsze jestem u siebie.

— Myślę, że to zupełnie możliwe. Tylko byłoby oszczędniej i rozsądniej...

— Nie, nie, ja nie mogę inaczej. Pracować chcę, ale służyć nie. Bo tam w Reims, to była wyjątkowa sytuacgja.

— Miała pani zajęcie w Reims przed wojną? — spytałam ostrożnie, unikając wyrazu **służba**, aby nie zranić niechcący biednej prawnuczki konfederata barskiego.

— Byłam przy jednej starej pani, zgrzybiałej, słabej, którą trzeba było pielęgnować, jak dziecko. Czytywałam jej głośno i chodziłam z nią na spacery. Później już tylko w fotelu ją woziłam. Dobrze mi było w tym domu, lubili mnie, jakbym należała do rodziny. Ot, żebym do nich poszła, wzięliby mnie i teraz pewnie. Ale ja nie pójdę, nie! I do Reims nie wrócę już nigdy, za nic!

Coś tragicznego zadrżało w jej głosie. Nie śmiałam i nie chciałam pytać. Tak trudno zajrzeć w czyjeś serce. Czasem nieostrożne słowo rani boleśniej od noża i rozkrwawia wpół zaschłe rany. Ale jej widać zaciężyło zanadto na duszy milczenie i zapragnęła podzielić się z kimś współczującym swoją biedną dolą.

— Nie ma pani pojęcia o tem, co się działo w Reims, gdy zaczęli Niemcy bombardować miasto i nakazano ewakuację. Sądny dzień nastał. Dzieci i rodzina mojej staruszki musieli wyjechać. Ale sama staruszka czuła się już bardzo źle i niepodobna było myśleć o przewiezieniu jej, umierała powoli. Zostałam z nią i przez kilka tygodni żyłam wtedy w piwnicy.

Zamilkła nagle, jakby cofnęła się przed czemś wewnętrznie. Za oknem szumiał monotonnie zwykły deszcz paryski zimowy. W chłodnym, wilgotnym pokoiku miało się wrażenie, że te krople padały gdzieś aż w duszę, na serce, mroziły zwolna krew i nerwy. Ale głowa Joanny i jej spłakane oczy były wciąż gorące od wypłakanych łez. I snać gorzało coś w tej biednej głowie, coś czego nie mogła przykryć zwykłem milczeniem, bo po chwili znów podjęła nić zwierzeń cichym drżącym szeptem:

— Nieszczęście moje i szczęście zostało w tym lochu. Jak w grobie ciemnym. Ot, co tu długo mówić. Krew ma człowiek czerwoną, gdy młody, a tu jeszcze ciągle śmierć stała u proga. Może jutro, może pojutrze. Niewiadomo, czy i dzisiaj moje. Stał tam oddział szaserów u nas i był młody oficer. A ja, widzi pani, nie mogłam nigdy kochać naszych wiejskich chłopców. Zawsze mi się marzyli dawni rycerze, albo oficerowie w eleganckich mundurach. I chciało mi się, żeby do mnie ktoś mówił pięknie o miłości. Jak w książkach. A on umiał tak właśnie mówić. Więc myślałam: „przecie królowie żenili się z pastuszkami, a my żyjemy w Republice, gdzie wszyscy równi". I zamąciło mi się w głowie, a gdy przyszło opamiętanie, to już było zapóźno. I nie chciałam nawet myśleć wtedy o niczem. Choć jeden dzień jeszcze mój!... Staruszka moja, z którą zostałam, już wtedy nie żyła i wiedziałam, że lada chwila mogą mnie wysłać z Reims. Jakoż tak się stało. A w dzień mego wyjazdu dowiedziałam się, że on kłamał mi... że miał żonę i dzieci...

— Niegodziwy oszust! — wyrwało mi się mimowoli w oburzeniu, do którego zdolna jest tylko bardzo jeszcze niedoświadczona młodość.

— Nie, — szepnęła Joanna, — nie, nie trzeba tak mówić. Jego już niema, poległ wkrótce potem. A ja wtedy Boga prosiłam o śmierć, ale nie przyszła, trzeba żyć. I odpokutować trzeba. Bom ja coś ukradła wtedy tamtej kobiecie. Choć nie wiedziałam, że to cudze. Ale mnie się nie wiedzie w życiu, nic nie wiedzie. Ot, żebym teraz była zdała ten egzamin. Dostałabym miejsce, zarabiałabym dobrze, mogłabym potem może pojechać do Polski, poszukać, czy tam są jeszcze Zochowscy. Tak mi się zdaje, że tam lepiej byłoby mi żyć, że ja stąd, ale moja dusza nie stąd.

Była w tej dziewczynie dziwna mieszanina idealizmu, nacechowanego czysto słowiańską tęsknicą, a jednocześnie mieszczańskiego realizmu. Z jednej strony ogromne zaparcie się siebie, z drugiej naiwna ambicja. Nieco buty szlachcica na zagrodzie równego wojewodzie i zdrowy rozsądek chłopki francuskiej z Wogezów.

A gdym rozmyślała tak nad dwoistością natury Joanny Daussay, rozległ się nagle poważny, gruby głos zegara w kościele Saint-Etienne-du mont, wydzwaniający dwunastą w nocy. Zawtórował mu po chwili głębszy i mocniejszy bas Notre-Dame i przeciągnął, podkreślił śpiew skończonej doby. A nim przebrzmiały jeszcze ostatnie dźwięki, już je podchwycił srebrny, cienki, jak nitka babiego lata głos św. Seweryna, tego pół-polskiego kościoła, i zatonął wkrótce w rozlewnym, bliskim wtórze Sorbony. Pieśń północy rozbrzmiała nad całą łacińską dzielnicą i owinęła ją jeszcze szczelniej w tuman mgieł i szare szeleszczące zasłony zimowego deszczu.

— — — — — — — — — — — —

Gdy w kilka dni potem zapytałam Joannę, czy jest zadowolona ze swej nowej pracy, odpowiedziała mi z radością:

„Oh, tak. Nie mam dużo do roboty, bo jest odkurzacz (aspirateur) elektryczny i wszystkie najnowsze przyrządy do krajania, siekania, gotowania. Kuchnia, jak cacko. Mam gumowe fartuszki, a gdybym chciała, to i gumowe rękawiczki. Ale mnie w nich niezręcznie. Jedna tylko bieda, że pani L. ma zbyt wiele roboty w Czerwonym Krzyżu i wciąż spóźnia się na obiady i kolacje. Zato jest tyle książek!... Ciągle czytam".

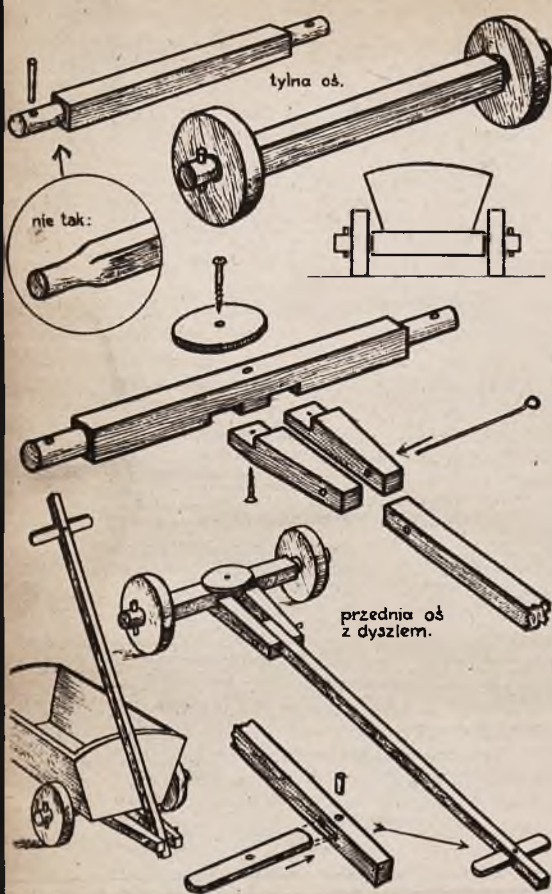
(Ciąg dalszy nastąpi).



WACHLARZ PIĘKNEJ LADY...

FOT. WILLINGER WIEDEŃ

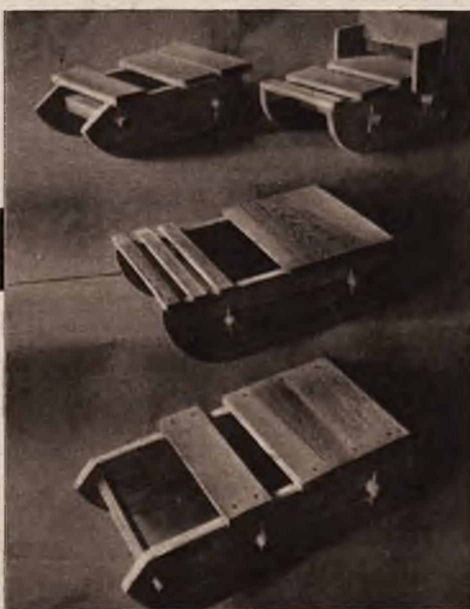
NOWOCZESNE ZABAWKI



Schematy, wedle których należy wykonać osie, kółka i dyszelek.

Powszechnie jest już znane to zjawisko, że dzieci współczesne niechętnie bawią się klockami, łamigłówkami, loteryjkami, wzdychają zaś do „motocykli", „samochodów", „pancerników". Dzieci nieco starsze, od lat sześciu, bardziej twórcze i samodzielne nie zadawalniają się już nawet gotowemi objektami, ale pragną sobie zbudować „samochód", „pancernik", czy saneczki sportowe. Niedawno spotkałem pięcioletniego chłopca, który nie chciał chodzić do przedszkola, gdyż jak twierdzi, jest tam nudno, bo niema ani gwoździ, ani młotków!

Możemy bardzo łatwym i tanim kosztem zaspokoić te piękne pragnienia naszej dziatwy: zamiast gotowych zabawek, kupujmy dzieciom nożyki, nożyczki, młotki, piły, obcęgi, strugi, imadła i warsztaciki domowe, a wtedy dzieci będą mogły zrobić sobie i rodzeństwu różne zabawki, a nawet sprzęty codziennego użytku, jak saneczki, stołeczki, półeczki, podstawki do kałamarzy itp. Praca nad wykonaniem tych zabawek i sprzęcików da dzieciom wielką radość, sto razy większą, niż gotowe kupne zabawki i jednocześnie będzie miała wielki wpływ wychowawczy. Będzie rozwijała siły fizyczne i umysłowe, będzie wychowywała młode talenty techniczne. Skala kosztów zakupu narzędzi jest wielka i wynieść może od kilkunastu złotych, za które możemy kupić piłkę do cięcia deski ,młotek, obcęgi, świder, kawałek deski i gwoździe, aż do 100 złotych, za które możemy kupić warsztacik domowy z kompletem narzędzi. Dla dzieci małych, w wieku od lat sześciu do ośmiu, można nabyć kompleciki narzędzi za kilka złotych. Przy kompletowaniu narzędzi zapewne nie odmówią swej pomocy nauczyciele robót ręcznych, którzy są już obecnie w każdem gimnazjum i w wielu szkołach powszechnych.

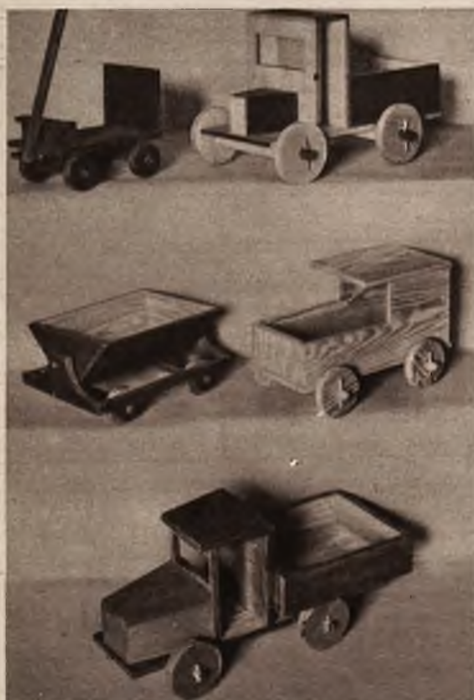


Oto jak wyglądają miniaturowe saneczki...

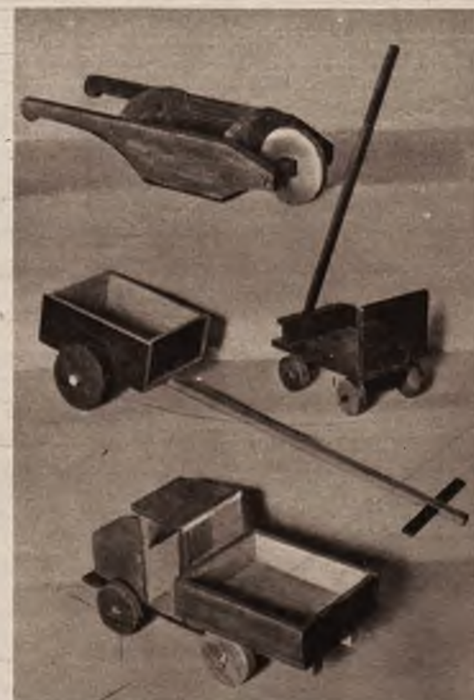
Warto przypomnieć zarówno starszym, jak i młodzieży, że dla Forda w wieku młodzieńczym najprzyjemniejszem zajęciem była praca przy domowym warsztaciku, a najmilszemi zabawkami — narzędzia. Na tym skromnym domowym warsztaciku, potem nieco rozszerzonym, Ford przerobił starą dorożkę na samochód!

Załączamy fotografje kilkunastu przedmiotów, zrobionych z desek sosnowych o grubości od 5 do 12 milimetrów. Do wykonania tych zabawek, o ile zostały zakupione gotowe już wystrugane (wyheblowane) deski, potrzebna jest tylko piłka, młotek, świder i gwoździe. Przedmioty te są tak proste w konstrukcji, że patrząc na ich fotografje, może je wykonać bez trudu dziesięcioletnie dziecko. Pewne trudności mogą się nastręczyć dzieciom przy wykonywaniu osi kółek i dyszelków i wobec tego podajemy rysunek wyjaśniający wykonywanie tych składowych części. Wielkość wykonywanych przedmiotów uzależniona być powinna od wieku dziecka, dlatego nie podajemy wymiarów, niech dziecko samo myśli i kombinuje. Jest jednak rzeczą pożądaną, aby wykonywane zabawki były takiej wielkości, aby dzieci naprawdę mogły w nich wozić piasek, kamyki, czy kasztany, a więc długość skrzynki wózka czy samochodu powinna wynosić około 35 cm, a szerokość około 20 cm. Przedmioty, których fotografje załączamy, są zaprojektowane i wykonane przez słuchaczów Państwowego Instytutu Robót Ręcznych w Warszawie pod kierunkiem nauczyciela p. Kazimierza Zacharkiewicza.

Wł. Przanowski.







Różne formy zabawek z drzewa, które zostały wykonane „domowym przemysłem".

Z TEATRU MALICKIEJ

Powyżej: Janina Biesiadecka (Didina) i Henryk Modrzewski (sędzia śledczy) w komedji „Zamieszaj" na scenie Teatru Malickiej.

Zdjęcia fot. Forbert — Warszawa.



Na prawo: Z. Biesiadecki (adwokat), J. Biesiadecka (Didina) i Zofja Stachowiczowa (Mania) w komedji „Zamieszaj".

Każdemu znawcy stosunków teatralnych w Polsce i miłośnikowi prawdziwego teatru musi zaimponować Marja Malicka. Założyła własny teatr i wraz z mężem, Zbigniewem Sawanem, przezwyciężyła wszystkie trudności, odnosząc na własnej scenie niebywałe triumfy zarówno artystyczne, jak i — co również ważne, bo umożliwia pierwsze — finansowe. Malicka jest równocześnie wzorem pracowitości, niebywałą rekordzistką w tej dziedzinie. Właśnie przed kilku dniami święcono za kulisami jej teatru koleżeńską uroczystość 600-ego zrzędu występu Malickiej na deskach własnego teatru. Po kilku pierwszych sztukach, które dość szybko zeszły z afisza, a było wśród nich tak wybitne artystyczne pozycje, jak wystawienie po raz pierwszy w Polsce — literackiej sztuki „Noe", grała 260 razy w „Trafice pani generałowej", a następnie 200 razy w „Profesji pani Warren".

Porównanie obu ról Malickiej: Gerti w „Trafice", oraz córki pani Warren dokumentuje, jak pięknie zróżniczkowana jest skala talentu artystki i jak potrafiła Malicka przełamać się, wyzbyć się podlotkowatej „cukierkowatości", jaką nęciła jeszcze publiczność w „Trafice" i dać głęboko dramatyczną, silną w wyrazie, a subtelną w ekspresji kreację w sztuce Shawa. Wyznaję szczerze, że ta rola i wspomnienie drugiej kreacji Malickiej, wcześniejszej, Marji Stuart Schillera, nawróciło mnie w szeregi entuzjastów scenicznej twórczości Malickiej.

Artystce i dyrektorce należał się zasłużony wypoczynek, to też niema jej nazwiska na afiszu Teatru Malickiej, zapowiadającym graną obecnie sztukę „Zamieszaj" rumuńskiego komedjopisarza A. de Herza. Jest to jednak złudzenie, że Malicka wypoczywa, bo właśnie przygotowuje nową sztukę, w której znowu grać będzie główną rolę. Tymczasem możemy się bawić na „Zamieszaju". — Sztuka obfituje rzeczywiście w wiele zamieszania, dowcipnych sytuacyj i niespodzianek. Powinna mieć powodzenie, zwłaszcza, że grana jest bardzo dobrze. Artyści humor dozują umiejętnie, a przytoczenie ich dobrze znanych nazwisk jest najlepszą reklamą klasy przedstawienia: Janina Biesiadecka, Zygmunt Biesiadecki, Wojciech Wojtecki, H. Modrzewski, Ina Benita, Stachowiczowa i Wł. Ziembiński — grają dowcipnie i miło, w miłych dekoracjach St. Kurmana.

(b)

Tualety w życiu gwiazd



Poniżej: Glorja Swanson z drugim swym mężem Michelem Farmerem z Irlandji, podczas podróży poślubnej.

Na lewo: Ruby Keeler na czele girls, z których szeregów wyszła nietylko ona, ale i wiele innych słynnych dziś gwiazd...



Doświadczenie i karjera nietylko filmowa, ale i życiowa wielkiej amerykańskiej gwiazdy filmowej Glorji Swanson dowodzą, że jest ona miarodajną w wydawaniu opinji na tematy, dotyczące mody kobiecej. Warto posłuchać zatem jej wynurzeń w kwestji, która od wieków, ba, od tysiącleci nie przestała i nigdy nie przestanie interesować prawdziwych cór Ewy. Zwłaszcza dla kobiecego świata artystycznego opinja wielkiej gwiazdy ma szczególne znaczenie.

Wszystkie aktorki domagają się wytwornych tualet. I ja nie stanowię wyjątku w regule. Wobec tego jednakże, że większość z nas rozpoczyna swoją karjerę jako „bathing-girls", czyli jako trzeciorzędne, niepozorne statystki i chórzystki, jesteśmy skazane na ubieranie się przez długie lata w suknie ubogie, zniszczone i niegustowne. Dosyć jest chyba widzów filmowych, którzy przypominają sobie początki mojej karjery w drobnych komedyjkach i znają mnie jako skromną debjutantkę. Były to skecze filmowe, których komizm polegał na wyczynach atletycznych i sportowych, stanowiących silniejszą atrakcję, aniżeli kobieca uroda i piękne tualety. Dzisiaj przyznaję się otwarcie, że ten stan rzeczy działa na mnie deprymująco, bo chociaż mogę mierzyć się jako pływaczka i amazonka z najsławniejszemi rekordzistkami, będąc córką oficera okrętu transportowego, wychowana w licznych garnizonach, to jednak jestem na tyle kobiecą, że i mnie cieszą piękne suknie.

Istnieje dosyć ludzi, twierdzących, że młode dziewczęta współczesne przykładają za dużą wagę do zewnętrznej aparycji. Ja jednak jestem tego zdania, że każda kobieta powinna ubierać się tak dobrze i elegancko, jak tylko pozwalają jej na to środki materjalne. Wybór tualet, sposób ich noszenia, jest niejednokrotnie decydujący dla przyszłych losów młodej damy.



Na prawo: Glorja Swanson, markiza de la Falaise.

Ja osobiście przywiązuję wielkie znaczenie do doboru barw, gdyż jestem przekonana, że wpływają one na nasz nastrój. Mojem zdaniem najstosowniejszym ubiorem dla kobiety na ulicę jest prosty w kroju płaszcz lub kostjum. Komplety granatowe, ciemno-bronzowe lub czarne, zwłaszcza ożywione bluzką lub pulowerem w żywej barwie, czynią zawsze doskonałe wrażenie. Kobiety naprawdę dobrze ubrane dobierają swoje tualety według własnego gustu, zamiast kupować zasugerowane im rzeczy gotowe pod wpływem chwilowego upodobania. Nota indywidualna zaznacza się w obuwiu, nie pomija także kapeluszy i rękawiczek. Starajmy się zawsze o najlepszy dobór okryć i szczegółów tak pod względem barwy, jak i stylu!

Właśnie moje zdolności podkreślania dobrego gustu w tualetach zwróciły na mnie uwagę wielkiego reżysera Cecila B. de Mille'a, który pierwszy dał mi sposobność wykazania moich zdolności jako aktorki dramatycznej. Otrzymałam szereg tytułowych i głównych ról w filmach salonowych, w których musiałam olśniewać wspaniałością tualet. Nie trwało długo, a moje rachunki z magazynów mody przybrały imponujące rozmiary i zaczęły stanowić poważny problem budżetu toaletowego studjów, zwłaszcza, że buciki i bielizna, negliże, tualety wieczorowe i t. p. były specjalnie dla mnie projektowane w myśl wytycznych ostatniej mody. Cóż zatem dziwnego, że nowa gwiazda filmowa, jaką się stałam, zaczęła być bardzo próżna?

Często się zdarza, że pomysły tualetowe, według których ubiera się w jakimś głośnym filmie dana artystka, wpływają na ewolucję mody i rozpowszechniają się w pół roku lub w rok później w Ameryce i w Europie. Jest to zatem kwestja o istotnem i żywotnem dla mody znaczeniu, w jaki sposób, gdzie i kiedy przystraja się artystka w te pierwsze zwiastuny nadchodzącej mody. Niezliczone pary oczu skierowane są we dnie i w nocy na gwiazdy filmowe, rejestrują skrupulatnie wszystkie szczegóły, ogólną linję toalety, klejnoty, fryzurę i — bądźmy szczerzy — bieliznę nocną. Biada artystce, która nie umie ubrać się nienagannie we wszystkich scenach danego filmu! Nie przesadzę, wymieniając sumę 25.000 dolarów, konieczną do pokrycia wydatków na stroje gwiazdy we współczesnym dramacie filmowym. Tualeta panny młodej, którą nosiłam w filmie „Her Love Story", kosztowała cztery razy więcej, z czego 50.000 dolarów przeznaczone było na klejnoty, 15.000 na suknię, buciki i bieliznę, a 35.000 na welon z prawdziwych koronek.

Błędnem byłoby jednak mniemanie, jakoby artystka myślała wyłącznie o wrażeniu, które wywierają jej tualety. Musi wcielić się dokładnie w charakter roli, którą odtwarza, choćiażby była to rola naiwnego, młodziutkiego podlotka. Przypominam sobie jedną z moich ról, w której grałam sprzedawczynię w wielkim magazynie nowojorskim. Aby sprostać tej roli, przebywałam przez szereg godzin w wielkim domu towarowym, studjując dokładnie zachowanie się sprzedawczyń i wyszłam dopiero pod wieczór, gdy mnie poznano. Innym razem miałam grać rolę gwiazdy rewjowej. Przez cały tydzień chodziłam dzień w dzień na tę samą rewję. Dla każdego artysty, który chce osiągnąć sukces, jest kwestją nieodzowną obserwowanie dokładne ludzi i wydarzeń w tem świetle, w jakiem przedstawiają się w życiu codziennem. Zebrane wrażenia przetrawia się skrupulatnie, a gdy otrzymujemy wyznaczoną rolę, możemy czerpać z rezerwoaru naszych doświadczeń i użyć ich do charakteryzacji i naświetlenia roli, nie zatracając noty indywidualnej.

Zawsze starałam się wykazać światu, że nie chcę, aby oceniano mnie wyłącznie jako reprezentantkę mody. Chciałam tworzyć żywych ludzi, którzy nie wznoszą się bezwarunkowo ponad pewne cechy zewnętrzne, lecz do których indywidualnego temperamentu można dostosować ubiór w danej sytuacji. Te cechy zewnętrzne musiały harmonizować z nastrojami, z otoczeniem i subtelnemi odcieniami ich osobowości. Krótko powiedziawszy, mieli to być ludzie, którzy nie byli ślepymi niewolnikami mody, lecz ubierali się stosownie do okoliczności, ludzie, którzy znali swój styl indywidualny i pielęgnowali go. Tak jest, w niektórych wypadkach należało podkreślać ten styl osobisty, o ile miałam dać kreację żywą, barwną, o skoordynowanej artystycznej całości.



Loretta Young — zdjęcie sprzed kilku lat, kiedy to artystka codopiero opuściła szeregi „bathing-girls".

Poniżej: A tu widzimy ją w kilka lat potem w wspaniałej tualecie wieczorowej...

Oto garść moich osobistych przekonań z zakresu mody i prezencji kobiecej. Reminiscencje te, poparte mojemi osobistemi doświadczeniami, przydadzą się niewątpliwie każdej adeptce sztuki. Dzisiaj śmiało rzec mogę, że gdyby nie pewnego rodzaju program, jaki wytyczyłam sobie w związku z umiejętnością oddziaływania na widzów zręcznie dobranymi efektami tualetowymi, napewno nie zostałabym markizą de la Falaise, żoną jednego z pierwszych arystokratów francuskich. A jakkolwiek małżeństwo to nie zadowoliło moich wymagań, stawianych losowi pod względem pojęcia o szczęściu, to jednak dało mi sposobność do kontynuowania takiego trybu życia, jaki mi odpowiadał.

Mogłam w dalszym ciągu olśniewać świat wytwornym wyglądem, stanowić atrakcję dla właścicieli studjów filmowych i tysięcznych rzesz widzów. Ta właśnie okoliczność ułatwiła mi wejście w drugi związek małżeński, w którym czuję się szczęśliwa i zadowolona. A jakkolwiek drugi mąż mój mr. Farmer nie należy do elity rodowej, to jednak jego stanowisko jako jednego z najbogatszych przemysłowców w Ameryce dało mi wszystkie te warunki, które stanowią ramy dla szczęśliwej kobiety. **Gloria Swanson.**

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

Podajemy szereg przepisów na skromniejsze przystawki, które z uwagi na obecną porę przyjęć będą pewnie przez nasze Czytelniczki chętnie widziane. Oryginalność ich przyprawiania jest obecnie nakazem mody, pochodzącej z Anglji, gdzie za przykładem głośnej pani Simpson panie domu licytują się w osobistem a oryginalnem przyprawianiu różnych sałat i innych smakołyków.

PTYSIE PARMEZANOWE. Na gotujące się 1/4 litra mleka z łyżką masła i szczyptą soli wsypać 14 dkg sypkiej mąki i ubijać na ogniu, aż ciasto od ścian naczynia odstanie. Zdjęte z ognia ciasto ubija się dalej, a gdy trochę ostygnie, dodaje się wśród ciągłego ubijania 3 żółtka, po jednemu, wkońcu pianę z trzech białek. Na dobrze natartą masłem blaszkę, kładzie się łyżeczką okrągłe kulki w odstępach dość dużych, bo silnie wyrastają. Po upieczeniu w gorącym piecyku, przekrawuje się je, napełnia sałatką majonezową lub bitą kwaśną śmietaną, zmieszaną z siekanemi grzybkami, czy też ogóreczkami lub zielonym groszkiem, posypując suto parmezanem.

PRZYSTAWKI NA GRZANKACH. Z ciemnego chleba wycina się krążki wielkości dłoni, na 1/2 cm grube i wysmaża je z obu stron na maśle. 25 dkg mięsa cielęcego przemiela się dwa razy, miesza z łyżką śmietany i białkiem, solą i pieprzem oraz odrobiną startej skórki cytrynowej. Mieszać należy dość długo, aby masa dobrze spulchniała i zbielała. Masą tą smaruje się grzanki na 1 cm grubo, tworząc w środku dołek, do którego wbija się małe jajko, kropi masłem i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka. Po wyjęciu pokrywa się wierzch sosem beszamelowym, sporządzonym w międzyczasie z łyżki masła, tyleż mąki, usmażonej cebulki i 4 łyżek mleka. Sos musi być gęsty (nie zapomnieć posolić). Chcąc uzyskać nie tak mocno spieczone jajko, zapieka się najpierw grzanki z mięsem przez 5—7 minut, potem dopiero wbija w środek jaja i wstawia na dalsze 3—4 minut do pieca. Podaje się na stół bardzo gorące.

PRZYSTAWKA Z MÓŻDŻKU. Na wykrojone okrągłe grzanki z bułki nakłada się następującą masę: Móżdżek cielęcy sparzony i oczyszczony z żył i błon opłukuje się w zimnej wodzie, sieka drobno, dodaje jajko, soli, szczyptę gałki muszkatułowej, drobno siekaną cebulkę, usmażoną na maśle oraz łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki. Grzanki nałożone dobrze wymieszaną masą dość grubo, smaruje się po wierzchu jajem, posypuje bułeczką i smaży pływająco w maśle. Bułki nie należy poprzednio wysmażać.

GRZANKI Z SZYNKĄ. 20 dkg okrawków szynki zemleć, dodać 1—2 jaj, białego pieprzu, gałki i ucierać przez chwilę na gładką masę. Dalsze postępowanie jak wyżej.

MASA Z MLECZKA CIELĘCEGO. Duże mleczko, odjęte z cielęcego mostka, sparzyć dwa lub trzy razy, t. j. tak, aby zupełnie zbielało, obrać z błon i udusić na maśle, podlewając rosołem, poczem kraje się je drobno i odstawia. Z łyżki masła i mąki przyrządza się jasną zasmażkę, zalewa zimnym rosołem, rozprowadza na gładką, gęstą masę, nadaje smak solą, sokiem cytrynowym oraz troszką skórki, podprawia żółtkiem, rozbitem w dwóch łyżkach śmietany, wkłada posiekane mleczka, zaciąga na ogniu, aby dobrze zgęstniało i nakłada na usmażone grzanki. Z tęgiej piany, ubitej z białka, nakłada się na grzanki małe czepeczki, posypuje parmezanem lub zieloną pietruszką, kropi masłem i zapieka w piecyku przez dwie minuty. Należy podawać szybko, aby piana nie opadła.

RYBA AU GRATIN. Ugotowaną w słonej i lekko zakwaszonej wodzie rybę układa się w całości na ruszcie lub brytwance. Z masła, mąki i mleka (ilości nie podaje — zależy od wielkości ryby) sporządza się gładką zasmażkę, którą się przyprawia na pikantno solą, sokiem cytrynowym, parmezanem i angielskim sosem. Wkońcu zaciąga się sos żółtkiem i pokrywa nim rybę, posypuje parmezanem, zmieszanym pół na pół z tartą bułką, kropi masłem i wstawia na 15 minut do piecyka. Rybę podaje się obłożoną krokietkami lub fritkami z ziemniaków. Dla orjentacji podajemy proporcje: na sos do 1 kilogramowej ryby potrzeba 5 dkg masła, 4 dkg mąki, 1/8 l mleka, 1 żółtko, 1 łyżkę parmezanu.

PONCZ Z OWOCAMI. Kilka bananów pokrajać w talarki, zalać sokiem z 2—4 pomarańcz, zasypać 25 dkg cukru, dodać pół litra wina jabłecznego i odstawić na kilka godzin. Przed podaniem dolewa się 1/4 l rumu i 1/2 l białego wina, dosładza jeszcze, o ile smak ponczu tego wymaga i stawia na lodzie.

BUDYŃ KASZTANOWY. 30 dkg kasztanów ponadcinać i włożyć na chwilę do gorącego piecyka, aby się dały obrać, poczem dusi się je do miękka w troszce mleka, przeciera przez sito dodaje 9 dkg masła oraz 12 dkg cukru z wanilją i dusi dalej, aby masa dobrze zgęstniała. Wystudzoną masę uciera się przez pół godziny z 5 żółtkami, dodaje 5 dkg tłuczonych miałko migdałów, w których mają być 3 gorzkie, pianę z 5 białek i 4 dkg tartej struceli lub biszkoptów, zwilżonych rumem. Spód natartej masłem formy budyniowej wykłada się smażoną skórką pomarańczową w ładny wzorek, wlewa na to masę kasztanową i gotuje na parze całą godzinę. Podaje się z szodonem lub kremem waniljowym.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI GOSPODARCZE





Co zrobić z dwiema szklankami, które włożone jedna w drugą nie dają się rozdzielić? Stawiamy je w miseczce z ciepłą wodą, następnie lejemy do szklanki wodę wpierw letnią, potem chłodną, a wkońcu zupełnie zimną. Pod jej wpływem szklanka wewnętrzna skurczy się i pozwoli się wyjąć. Podobną metodę stosuje się, gdy w flakoniku z perfumami szklany korek się „zatnie" i nie da się wyjąć. Maczamy wtedy mały gałganek w gorącej wodzie i na chwilę owijamy nim szyjkę flakonika, w której korek tkwi. Za chwilę można go z łatwością wyjąć, gdyż szyjka flaszki się rozszerzyła pod wpływem ciepła.

JAK NAJLEPIEJ OCZYŚCIĆ MASZYNKĘ DO MIELENIA MIĘSA?

Natychmiast po skończeniu mielenia mięsa zemleć na niej czerstwą bułkę, gdyż cząsteczki jej usuną z wnętrza maszynki wszystkie resztki mięsa, tłuszczu, czy żył. W ten sposób nic się nie zmarnuje, bo przecież i tarta bułka potrzebna jest do każdego mielonego mięsa, a maszynkę wystarczy potem przemyć gorącą wodą.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 3 — **Styczeń** — **31 dni**

Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA **10** Pawła pust.	Zupa pomidorowa na śmietanie. Paszteciki z ptysiowego ciasta z mleczkiem cielęcem. Zając pieczony z makaronem i buraczkami. Budyń kasztanowy z kremem waniljowym. Kolacja: Kiełbasa w ostrym sosie.
PONIEDZ. **11** Honoraty	Zupa czernina z kluseczkami. Kapusta włoska faszerowana. Pieczeń nerkowa z marchewką. Szarlotka z jabłek w kruchem cieście. Kolacja: Polędwica wieprzowa z sosem musztardowym zimnym.
WTOREK **12** Arkadjusza	Rosół z drobiu z grysikiem. Kardy lub brukselka z rumianem masłem. Kura z rosołu z sosem chrzanowym i ziemniaczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego z jajem.
ŚRODA **13** Hilarego bisk.	Barszcz na mięsie z fasolką. Makaron wypiekany z jajem. Gigot z pieczeni baraniej z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Grzanki z bułki z marmoladą. Kolacja: Wędzonka z barszczu lub parówki z chrzanem.
CZWARTEK **14** Feliksa z Noli	Grochówka z grzankami. Salsefia na sposób szparagów. Kaczka pieczona z jabłkami. Legomina z maku. Kolacja: Naleśniki z kapustą.
PIĄTEK **15** Maura op.	Zupa grzybowa. Rizotto z groszkiem. Ryba au gratin z krokietkami ziemniaczanemi. Drożdżowe ciastka z serem. Kolacja: Sałatka rybna w majonezie lub marynowany śledź.
SOBOTA **16** arcelego I pap.	Rosół "Julienne" z płatkami. Sztuka mięsa w sosie ziemniaczanym. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście /debreczyńskie/. Omlety z kremem lub konfiturą. Kolacja: Wędzone ryby morskie.

HOCKI-KLOCKI

Krzyżówka. Ułożył J. Piękniewski, Łódź.



Według numerów należy wpisać *poziomo* słowa określające:

1. Inaczej zaciśnięcie węzła intrygi w dramacie. 4. In. liczba. 8. In. zespół artystów. 10. In. wyborowe towarzystwo. 12. In. gałąź. 15. In. gruzy. 21. In. pas zboża lub trawy. 23. In. bożek egipski. 24. In. odmiana Polski. 29. In. kapłan koptyjski. 31. In. gatunek wierzby (wspak). 32. Imię męskie. 33. Pierwiastek chemiczny. 34. Kwiat. 35. In. wór.

Pionowo należy wpisać według numerów:

1. Inaczej czas zimowych zabaw. 2. In. łączenie wyobrażeń w jedno pojęcie. 3. In. przeciwieństwo. 4. Gatunek jaszczurki, zmieniającej barwę. 6. Miara długości. 7. In. wynik. 8. In. śpiewak-poeta. 9. Litera fonet. 11. In. środek przekonywujący. 12. In. ocena utworu. 13. Pierwsza litera alfabetu. 14. In. ziemia orna. 16. In. namuł. 17. Rzeka w Polsce. 18. In. rozłożenie całości na części. 19. Zaimek. 20. In. mieszkanie pszczół. 22. Litera fonet. (wspak). 26. In. sytuacja bez wyjścia. 27. Rzeka w Rosji. 30. Inicjały autora na „Skalnem Podhalu".

Rozwiązania z N-ru 1-go.

CZY ZGADNIECIE?

IV. W klasie uczniów było 30-tu a ławek 12-cie.

ZAGADKA SYLABOWA Z NRU 1 „ASA".

Posuwając się co pewną ilość miejsc w kierunku zegarowym otrzymujemy zdanie: „Młódź o przyszłem szczęściu marzy, starość o przeszłości gwarzy".

ROZRYWKI UMYSŁOWE

NA MANEWRACH.

W pośpiesznej ucieczce przed nieprzyjacielem, mały oddział wojska musiał się przeprawić na drugi brzeg szerokiej i głębokiej rzeki. Oczywiście jak na złość nie było nigdzie w pobliżu mostu, a żołnierzom zależało na jak najszybszem przedostaniu się na tamten brzeg. Nagle spostrzegli dwoje dzieci wiosłujących w maleńkiej łódce. Łódka była tak mała, że mogło się w niej pomieścić albo dwoje dzieci, albo tylko jeden dorosły.

W jaki sposób oficer i jego 357 żołnierzy przeprawili się przez rzekę, oddając potem dzieciom łódkę. I ile razy musiała łódź kursować od brzegu do brzegu?

KLEPSYDRA.

Godzinna klepsydra przesypuje się od 55-ciu minut i po ich upływie pan Kanarek klepsydrę odwraca. Po raz drugi odwraca ją po 50-ciu minutach i następnie kolejno po 45, 40 i t. d., skracając czas każdorazowo o 5 minut. Jak długo trzeba w ten sposób manipulować, żeby ta sama ilość piasku była w dolnej i górnej części klepsydry?

PRZERÓBKA DESECZKI.

Stolarz ma deseczkę 9 cm szeroką i 25 cm długą, którą musi przerobić na kwadratową o długości boku równej 15 cm. Jak należy rozciąć deseczkę na trzy części, nadające się do sklejenia w kwadrat?

DWA POCIĄGI.

Dwa pociągi wyruszają jednocześnie, jeden z Warszawy do Torunia, drugi z Torunia do Warszawy. Jeśli jeden z nich przybywa do miejsca swego przeznaczenia w godzinę, drugi zaś w cztery godziny po minięciu się, to ile razy szybciej idzie jeden pociąg od drugiego?

HUMOR ZAGRANICZNY.

NA WSZELKI WYPADEK.



— Co? zabierasz ze sobą drabinkę?
— No, a gdybyśmy zaczepili o drzewo, to co wtedy? „Ric et Rac"

NA GRUBĄ ZWIERZYNĘ!



— Może pan mi pokaże jakiś większy kaliber rewolweru! Ma on napędzić strachu mojej żonie... „Ric et Rac"

W WIEKU PRĘDKIEGO TEMPA.



Ojciec, automobilista do swoich dzieci: — Musimy się pospieszyć, bo mamy mało czasu! Ty Zuziu obejrzysz sobie kaplicę, ja zwiedzę fortyfikacje, mama przyjrzy się katedrze, Zosia zwiedzi muzeum, a potem się wszyscy spotkamy! „Ric et Rac"

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr Ziemi Pomorskiej gra obecnie z dużem powodzeniem **„Skalmierzanki"** Jana Nepomucena Kamińskiego, współautora „Krakowiaków i Górali". Publiczności podoba się dobrze zmontowane widowisko, pełne muzyki, sentymentu, barw i tańca, niepozbawione i uczuć głębszych. Na czoło wykonawców wysunęli się: Bracka, świetna odtwórczyni roli Marcinowej i Doree, przemiła Dosia. Reszta wykonawców z Piekarskim, Mierzejewskim, Korowiczówną, Skwierczyńskim, Cybulskim i Ilcewiczem przyczynia się do sukcesów przedstawienia, któremu malowniczą oprawę dekoracyjną dał Małkowski.

W Poznaniu Teatr Polski dał ostatnio premjerę komedji Molnara **„Wielka miłość"**, w której główną rolę kobiecą gra Jabłonowska. Dźwiga ona szczęśliwie cały ciężar sztuki. W głównych rolach męskich występują Ryszard Kierczyński jako miły „ciamajda" i Michał Pluciński jako sympatyczny lekkoduch. Pyszną postać ekscelencji daje Sachnowska, a Ada Zasadzianka, Czarnecka i inni dobrze grają pod kierunkiem reżyserskim Bron. Dąbrowskiego. Wytworne dekoracje dał Zygmunt Szpinger.

W krakowskim teatrze **im. J. Słowackiego** graną jest obecnie komedja Bekefi'ego **„Niesprawiedliwiona godzina"**, która cieszyła się powodzeniem na wielu scenach. Zdobędzie je niewątpliwie lekka, karnawałowa sztuka i w Krakowie, zwłaszcza dzięki odtwórczyni roli mężatki-uczenicy Matusiakówny, zabawnemu typowi nauczyciela — Macherskiemu, charakterystycznej uczenicy Trudy — Bednarskiej i innym z J. Karbowskim, Klońską, Woźnikiem na czele. **(b).**

NOWE KSIĄŻKI.

Ankieta, przeprowadzona w kolonji akademickiej na ul. Grójeckiej w Warszawie, gdzie mieszka zgórą 1.650 akademików, wykazała, że największą poczytnością w ciągu ostatnich pięciu lat cieszyły się książki **Kornela Makuszyńskiego** z „Bezgrzesznemi latami" na czele. Jeżeli młodzież akademicka chętnie sięga po książki Makuszyńskiego, to co dopiero mówić o ich młodszych kolegach, dla których Makuszyński jest najmilszym autorem.

W obecnym sezonie wydawniczym Makuszyński dał trzy nowe książki dla dzieci i młodzieży, które nietylko potwierdzają, ale i pogłębiają nasz sąd o nim, że jest **najlepszym pisarzem dla młodzieży.** Makuszyński nie potrzebuje wczuwać się w psychikę dziecka, gdyż sam posiada najistotniejsze cechy dziecięcej psychiki, która objawia się w jego szczerości i bezpośredniości, w sercu, które dla wszystkich ma na dłoni, w bajecznym humorze i w pięknej fantazji. Książki Makuszyńskiego są piękne, pogodne i zdrowe, a dydaktyzm ich nigdy nie jest podawany w formie brutalnego dla młodych, wrażliwych czytelników, morału.

Dla chłopców napisał Makuszyński powieść **„Złamany miecz"**, któ-



Kornel Makuszyński.

ra, podobnie jak inne wspomniane tu książki dla młodzieży, ukazała się nakładem Gebethnera i Wolffa. Karty tej powieści to klejnoty humoru Makuszyńskiego, a akcja jej rozgrywa się współcześnie i choć wiele w niej typów jakby z nieprawdziwego zdarzenia, jednak jest nawskroś prawdziwa. Świetną książkę zdobią dobre ilustracje St. Bobińskiego. Osobno napisał Makuszyński powieść dla dziewczynek p. t. **„Awantura o Basię"**, którą ładnie ilustrował K. Sopoćko. Jest to „opowieść tak prawdziwa, jak wiosna i tak pełna radosnych uśmiechów, jak pogodny dzień", choć rozpoczyna się wspomnieniem zdarzeń bolesnych i smutnych. „Jak z poza ciężkich, czarnych, burzliwych chmur słońce wreszcie jasną smugą wytryśnie i ozłoci ślady klęski i zniszczenia, tak i w tej powieści przeważić się muszą chmury przez pierwsze stronice, jak przez czyste obszary nieba. Jak w życiu, jak w życiu... Jedna szczęśliwa godzina rodzi następną, znaczoną łzami, aż smutek zelżeje i znowu jasną godzinę przywoła. Nie cenilibyśmy radości, gdyby była wieczno-trwała i snuła się nieprzerwanie. Gorycz bólu i dotkliwość cierpienia tem słodszą czynią nam radość, co się zjawi. Nie byłoby radości bez smutku. Niktby nie wiedział, że to radość właśnie. Tem skwapliwiej witamy dzień, że przed nim snuła się mroczna, oślepła noc".

Temi słowami rozpoczyna się powieść „Awantura o Basię", a przytoczony tu fragment daje najlepszą próbkę pięknej polszczyzny Makuszyńskiego i wszystkich zalet książki.

Najmłodsi czytelnicy otrzymali od Makuszyńskiego także książeczkę ilustrowaną przez M. Walentynowicza p. t. **„Na nie płacze, na nie krzyki, koniec przygód, Fiki-Miki"**. Jest to dalszy ciąg tak popularnych przygód Koziołka-Matołka i małpki Fiki-Miki. Wprawdzie tytuł zapowiada, że jest tym historyjkom koniec, ale niewątpliwie Makuszyński z Walentynowiczem wymyślą nowych bohaterów swoich bardzo miłych i dowcipnych książeczek.

W okresie gwiazdkowym ukazała się również nowa książka dla młodzieży **Zygmunta Nowakowskiego**, który po Makuszyńskim jest najulubieńszym pisarzem młodych czytelników. Jego **„Wytatuowane serca"**, ilustrowane dowcipnie przez Antoniego Wasilewskiego — to zbiór opowiadań, przeznaczonych dla czytanek szkolnych. Oczywiście, że, pisane na zamówienie, zawierają tendencje i treść, narzuconą przez wydawców książek szkolnych, ale autor, krępowany nakazami programu szkolnego, potrafi i w tej formie felietonów beletrystycznych dać bardzo miłą i pożyteczną lekturę, obejmującą przeróżne zagadnienia, zarówno naukowe, społeczne, czy sportowe. Niektóre opowiadania są kapitalne, a wszystkie pisane są świetną polszczyzną, co w książkach dla młodzieży jest najważniejszą potrzebą. Za dużo bowiem panoszy się tandety, wydawanej przez pokątnych wydawców. **(swb).**



Niedziela 10 stycznia.

8.03 Audycja dla wsi.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Lodzi.
10.30 Koncert popularny „W Kalejdoskopie".
12.03 Koncert rozrywkowy.
14.30 „1000 taktów muzyki".
15.30 „Audycja dla wsi".
16.20 Premjera słuchowiska p. t. „Trzecie i ostatnie drzwi".
17.00 Koncert symfoniczny.
19.00 „Urok książki" — pogadanka aktualna.
19.20 Jan Kiepura i Marta Eggert.
21.00 „Na Wesołej Lwowskiej Fali".
21.30 Utwory skrzypcowe odegra Ign. Weissenberg.
22.00 Orkiestra Seredyńskiego.
23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek 11 stycznia.

12.03 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej.
15.15 Muzyka lekka.
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 „30 minut włoskiej muzyki".
17.15 Koncert solistów.
19.00 Audycja strzelecka.
21.00 Wieczór literacki poświęcony Edwardowi Porębowiczowi.
21.35 Koncert Chóru Eryano.
22.00 Koncert symfoniczny z udziałem Stefana Aszkenaze — fortepian.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek 12 stycznia.

11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Zapomniane utwory".
15.15 Koncert zespołu salonowego.
16.30 Fragmenty operetek Pawła Abrahama — konc. z płyt.
17.00 „Dni powszednie państwa Koskich" — powieść mówiona.
17.15 Koncert kameralny.
17.50 „Skrzynka zażaleń" — monolog.
19.00 „Dyskutujmy" — „Czego szukamy w książce".
19.20 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
20.15 Muzyka jazzowa na skrzpce i fortepian.
21.00 Europejski koncert szwedzki (trans. ze Sztokholmu).
22.00 Kolędy polskie i obce.
22.30 „Zima poetycka" — kwadrans poezji.
22.45 Muzyka taneczna z „Cafe Clubu".

Środa 13 stycznia.

11.30 Audycja dla szkół „Co się dzieje pod lodem".
12.03 Muzyka salonowa.
12.50 Jak ułożyć budżet pogadanka.
15.15 Arje i pieśni — muzyka z płyt.
16.10 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci.
16.30 Koncert.
17.00 „Żołnierz K. O. P.'u a młodzież kresowa" — odczyt.
17.50 „Z kłopotów prelegenta w Ameryce" — feljeton.
18.50 „Nie czekajmy, lecz sami weźmy się za pracę" — pogadanka.
20.00 Orkiestra Alberta Sandlera — płyty.
21.00 Koncert chopinowski wykona Sergjusz Tager.
21.30 Claude Debussy: Kwartet smyczkowy.
22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek 14 stycznia.

11.30 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych.
12.03 Arje i pieśni instrumentalne.
15.15 Zespół salonowy Pawła Rynasa.
16.20 „Styczeń" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.35 Koncert w wykonaniu orkiestry pracowników Tramwajów.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Mickiewicz i Słowiańszczyzna w świetle najnowszych badań" — odczyt.
19.00 Premjera słuchowiska pt. „Przedziwny rycerz Don Kichot z Manczy".
19.30 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
20.30 „U Wschodniej ściany Rzeczypospolitej" — feljeton wygł. M. Wańkowicz.
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich — Ludomir Różycki".
22.10 Lekki koncert w wykonaniu orkiestry wileńskiej.
23.00 Muzyka taneczna.

Piątek 15 stycznia.

11.30 Audycja dla szkół — „Kulig" — Benedykta Hertza.
12.03 Koncert południowy.
15.15 W tempie mazurka — koncert.
16.30: Pieśni murzyńskie.
17.00 „Bez paszportu, bez wiz i bez pieniędzy" — feljeton.
17.15 Robert Schumann: Trio d-moll op. 63.
19.00 „Turkus" — humoreska.
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.15 Przy dźwiękach harfy.
20.15 Transmisja opery z Teatru Wielkiego.
22.30 „Naszyjnik" — skecz.
22.45 Muzyka taneczna.

Sobota 16 stycznia.

11.30 Śpiewajmy piosenki.
12.03 Francuskie utwory skrzypcowe.
11.30 Słuchowisko dla dzieci p. t. „O Chińczyku Czing-Czang i porcelanowej księżniczce".
15.15 Koncert rozrywkowy.
16.15 „Muzyka gór" — koncert.
17.00 Koncert solistów.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.30 Koncert w wykonaniu orkiestry Polskiego Radja.
20.25 Nowości literackie.
21.00 „Życie to taniec" — Transmisja z Wiednia.
22.00 „Kukułka wileńska".
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.